Opłata pocztowa uiszczona gotówką

Cena 25 gr.



WOLA I CZYN

CZASOPISMO SPOŁECZNO POLITYCZNE

Wychodzi 5-go i 20-go każdego miesiąca

Rok II. Lwów, dnia 20 stycznia 1938 r. Nr. 2.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Kopernika 42a, tel. 242-86. Konto P. K. O. Nr. 508250

ANTRAKT

Jest w Polsce sporo ludzi, nie koniecznie należących do jakiejś określonej formacji opozycyjnej, dla których nie ma sztuki teatralnej bez trupów, jak i polityki bez konfliktów, kryzysów i innych nieszczęść. Nie interesuje tych ludzi fakt pogodzenia się dwóch grup politycznych, ale za to podnieca jakiś rozłam. Nie ciekawi minister, który ma sukcesy, ale wyłącznie ten, któremu się nie powiodło. Ludzie ci ziewają na wiadomość, że konsolidacja społeczeństwa robi postępy, ale za to wyskakują ze skóry, gdy akcja ta na czymś się zahamowała lub doznała niepowodzenia. Obecnie ci ludzie mają gorzką pretensję do obozu legionowo-peowiackiego, że poszedł na współpracę z OZN. zamiast atakować go.

Pretensję tę ubiera się w szaty różnych wymówek i podejrzeń. Powiada się: Tak pięknie się zaczęło, tyle nadziei powstało wśród społeczeństwa! Uchwały lwowskie z 7 listopada przeszły przez kraj jak orzeźwiający powiew, jak głos mężnego sumienia, budzący tysiąckrotne echa. I oto zamiast kontynuować akcję i zbierać kapitał moralny, zamiast jednoczyć wszystkich walczących i niezadowolonych pod swymi skrzydłami, zawarto jakąś cichą ugodę, skapitulowano i żeby chociaż za jakąś uczciwą cenę! W OZN wszystko zostało po staremu, demokracja jest tam nadal źle widziana, a totalizm dobrze, Związek Młodej Polski ani słowa nie odwołał ze swej pochwały Dmowskiego. Czy nie lepiej było całkiem nie zaczynać, zamiast tak kończyć?

Niewątpliwie komuś sprawiony został zawód. Kogoś znakomicie bawił widok różnic, dzielących bojowników ongiś jednej sprawy. Ktoś pragnął gorąco, by z różnic tych wykopana została przepaść, by dyscyplina przeszła w bunt, a wysiłek, podjęty dla naprostowania kierunku, przekształcił się w głuchą i nieubłaganą, wrogą opozycję. Jeśliby z tego nawet nie odniósł bezpośredniej korzyści jakiś polityczny tertius gaudens, to w każdym razie samo widowisko byłoby warte patrzenia. I nie nastąpiło. Po lwowskich uchwałach zamiast zerwania przyszło zbliżenie i współpraca. Obóz legionowo-peowiacki, któremu już przyznawano obowiązek pieczenia dla kogoś kasztanów, stwierdził, że nie ma ochoty służyć niczyim rachubom, że opozycja dla opozycji jest mu gruntownie obca, że pragnie pracy i możności pracy, a nie walki.

Pomawianie go o kapitulację jest nonsensem. Kiedyś — bo dziś na to za wcześnie — wiadomym będzie, co groziło i zostało poniechane dzięki akcji legionowo-peowiackiej. Kiedyś w całej rozciągłości będzie można ocenić doniosłość owej „korektury“, którą spowodowały uchwały lwowskie. To, że w przybudówkach i po ciemnych zaułkach tułają się jeszcze figury dziwnego nabożeństwa, że jakieś syreny kuszą swym stahlowym śpiewem, że po ostatnich wypadkach rumuńskich niektóre rodzime a anemiczne widma nabrały rumieńców — nie ma istotnego znaczenia. Bramy stoją dla nas otworem. Możemy wejść i działać. Od nas zależy ostateczne rozpędzenie tych mglistych tumanów, tak, aby klimat w Polsce był wreszcie przejrzysty.

Zgłaszając swój udział w czynnej pracy OZN, podjęliśmy próbę, w której pomyślność wierzymy. Nie jesteśmy szermierzami żadnych interesów gospodarczych czy klasowych. Nie kieruje nami żądza władzy i głód wpływów. Wystąpiliśmy w obronie zagrożonych zasad moralnych i ustrojowych, w obronie tej atmosfery życia publicznego, bez której rozwój Państwa i jego rzeczywista siła wydały się nam niemożliwe. Stanowisko nasze było i pozostanie zawsze jasne i proste, bez wielkiej zawiłej kazuistyki, przy pomocy której inni usiłują przemycić obce duchowi polskiemu i gwałcące tradycje polskie doktryny.

Wyraziliśmy gotowość pracy, otrzymaliśmy jej możność i będziemy pracować. Zdajemy sobie sprawę z trudności. Pierwszy moment, najwdzięczniejszy, najgorętszy, najbardziej porywający został zmarnowany. Trzeba odrabiać błędy, które zdepopularyzowały sprawę i osłabiły moc natarcia. Trzeba będzie odrabiać zachwiany kredyt i zamiast konserwować chwiejne kładki, prowadzące w nicość, odbudowywać popalone mosty, prowadzące ku narodowi. Inne tempo, inny duch, inne, zuchwalsze marzenia czekają na spełnienie. Ale gdy spojrzymy wstecz, dostrzeżemy trudniejsze zadania wykonane.

Kończy się antrakt i zaczyna nowy akt. Publiczność, która spodziewa się ujrzeć na scenie wielkie gesty i patetyczne okrzyki, może opuścić widownię. Praca, ta wytężona i najlepsza, dokonuje się w ciszy.



Gmach nowootwartego gimnazjum polskiego w Kwidzynie (do art. na str. 7)

KAZIMIERZ SŁUPSKI

Polska musi być narodową

Polemizować ze „Słowem Narodowym“ to bardzo wątpliwa przyjemność; na poważne traktowanie nie zasługuje, a równocześnie nie można dopuścić do wprowadzenia w błąd opinii publicznej przez pismo, podszywające się pod nazwę narodową, którego „redaktorzy“ nie rozumieją najistotniejszych interesów narodowych.

Każdy przecież Polak musi reagować, gdy Ukraińcy: metrop. Szeptycki, biskup Chomyszyn, biskup Kocyłowski i Rusin administrator ks. Medwecki uzurpują sobie prawa ustalania zasad, obowiązujących sterników Państwa Polskiego. Musimy reagować nawet wtedy, gdy zasady te Ukraińcy probują narzucić polskim mężom stanu — przy czynnym współudziale polskich kościelnych dostojników.

Wiemy przecież, że zasady katolickie zacierają się w polityce państwa watykańskiego i to do tego stopnia, że na zeszłorocznym zjeździe unijnym ks. Urban przeciwstawił się „polonizacji“ cerkwi prawosławnej. Zasady katolickie nie uchroniły nas od wystąpień w Polsce aferzysty w rodzaju ks. Deubnera, wzgl. innego ks. Peridona, który z kraju wyjechał, a ukraińska uboga spółdzielnia, przez niego kierowania, nie może go odszukać w całej Europie dla dochodzenia strat, przez niego spowodowanych.

Żaden z dostojników kościelnych nie może, nie chce, a prawdopodobnie nie umie nam wytłumaczyć, po co i na co w Polsce powstał jakiś nowy obrządek słowiański, albo dlaczego księża katoliccy żenią się i udają w Polsce prawosławnych obrządku wschodniego.

Znaną jest sprawa górnośląska, której pozytywne załatwienie nastąpiło dla Narodu Polskiego dzięki energicznej postawie gorliwego katolika Korfantego. Nie wiemy też, czy interes Narodu Polskiego pokrywał się z interesem państwa watykańskiego, gdy komisarz Cziczerin kokietował Watykan dla celów rosyjskich i to w tym czasie, kiedy koledzy Cziczerina nasyłali na nasze katolickie i polskie kresy bandy rozbójników. Nikt nie może przewidzieć, czy i kiedy jakiś inny Cziczerin lub Litwinow nie dogada się z dyplomatami watykańskimi, a wtedy „Słowo Narodowe“ będzie, jak to teraz już robi, powoływać się na obowiązujące zasady częstochowskiego czy innego synodu.

Wiemy przecież, że zasady katolickie nie przeszkadzają kościelnym dostojnikom popierać w Hiszpanii i rządu gen. Franco i rządu czerwonych.

Pamiętamy też, że Polakom chciano narzucić modlitwę za Matkę Boską Królową Korony Pruskiej, a Jezuici polscy wypisywali pochwały na cześć Katarzyny II.

Zestawiamy p. Jana Pipreka z ks. metr. Szeptyckim i katolickimi biskupami ukraińskimi, i będziemy to tak długo robić, jak długo różne jednostki (dr Ratuszny) będą tak postępować, że wszyscy bez różnicy Polacy - katolicy byli zmuszeni w Tarnopolu występować przeciw temu doktorowi teologii katolickiej. A jeżeli sensu tego zestawienia nasi monopoliści - narodowcy nie rozumieją, to znaczy, że oni to właśnie mają bigos w głowie, względnie są faryzeuszowsko - obłudnymi narodowcami.

W interesie Narodu Polskiego i w interesie moralności religijnej musimy występować przeciw kościelnym zakusom politycznym. Polityka różnych dr. Ratusznych w Małopolsce Wschodniej kosztuje nas nie mało skradzionych dusz polskich i dlatego tu w Małopolsce Wschodniej nie możemy być za mało ostrożni.

Wydaje się nam, że my, a nie „Słowo Narodowe“, nie tylko jesteśmy prawdziwymi narodowcami, ale i szczerze troszczącymi się o katolicyzm. Ojciec św. zabronił kapłanom w Polsce zajmować się polityką i dlatego nasz Sejm został pozbawiony tak wybitnego działacza, jak ks. arcybiskup Teodorowicz. W logicznej konsekwencji tego zarządzenia Ojca Św. synod częstochowski nie powinien był zajmować się ustalaniem politycznych zasad, a w szczególności nie wolno mu było dawać krępujących instrukcyj dla sterników Państwa Polskiego, zaś ks. Urbanowi nie wolno było występować antypolsko tak, jak wystąpił na zjeździe unijnym w Pińsku.

Obiektywnie bowiem muszę przyznać, że dmowszczycy pierwsi w Polsce oficjalnie i słusznie zajęli stanowisko w sprawie Polaków wyznania prawosławnego, i temu ich rozumnemu pociągnięciu pośrednio przeciwstawił się w Pińsku ks. Urban. Na tym przykładzie wykazać można trudności pogodzenia interesów Narodu Polskiego, zasad katolickich i polityki państwa watykańskiego i dlatego ostatni atak „Słowa Narodowego“ uważać musimy za szkodliwy także i z punktu widzenia interesów partii dmowszczyków.

Nasi młodzi przyjaciele ze „Słowa Narodowego“ winni też zrozumieć, że dzisiaj katolicy katolickich mężów stanu, a jutro prawosławni swoich, ewangelicy swoich będą w Polsce zobowiązywać do polityki pewnego kierunku religijnego, co przecież jest niemożliwe, gdyż każdy kierunek religijny jest związany jakimiś nićmi z innymi narodami czy państwami. W takich warunkach i przy takim jak Polska położeniu geopolitycznym nie możemy uznawać innych zasad polityki, jak tylko narodowej. To przecież tłumaczymy wszystkim Polakom, ludowcom i pepeesowcom, i z tym zwracamy się również do wszystkich Polaków - katolików.

I jeszcze jedna uwaga. Uważamy, że uchwały synodu Szeptyckich i Kocyłowskich pośrednio oskarżają Rządy Polskie, że dotychczas nie postępują zgodnie z zasadami katolickimi. Renegatom Szeptyckim taki pośredni zarzut był potrzebny, ale i my i „Słowo Narodowe“ takie zarzuty Szeptyckich musimy odparowywać, domagając się wyjaśnień.

Te wyjaśnienia są konieczne jeszcze z jednego powodu. Wiemy przecież, że decydował i o obrządku słowiańskim i o publikacji uchwał synodu, a nadto na straży wystąpień „ks. Urbanów“ — winien stać p. Potocki, dygnitarz Ministerstwa Oświaty. Wołamy na alarm, domagając się od Sejmu, by zajął się p. Potockim, który nie uchronił nas od skandalu wawelskiego i który dopuścił do tego, że Szeptyccy i jego podwładni odważyli się decydować i ustalać obowiązujące zasady dla polskich mężów stanu i tym samym targnęli się na polską konstytucję, która wyraźnie precyzuje, jakimi zasadami ma się kierować w Polsce polski mąż stanu.

Panów „redaktorów“ ze „Słowa Narodowego“ prosimy, by nie deklamowali na tematy narodowe, lecz by uczciwie prowadzili politykę narodową. Takich ignorantów katolicyzmu nie potrzebuje też kościół katolicki,— który w Polsce musi być narodowy i musi służyć Narodowi Polskiemu.

Zanim was ks. arcybiskup Teodorowicz pouczy, jak was zwykle instruuje, zechciejcie przeczytać artykuł p. B. Koskowskiego, najlepszego, naszym zdaniem, katolika w Polsce. Z jego artykułu p. t. „Tylko takie wyjście, tylko taki ratunek“ wynika jasno, że polityka państwa watykańskiego zazębia się z zasadami katolickimi. On wam udowodnił też waszą ignorancję w następującym cytacie: „Nie ma wątpliwości, że, jak to już nieraz było akcentowane na tym miejscu, istnieje s p o s ó b k a t o l i c k i patrzenia na rzeczy doczesne, a więc i na rozwiązywanie zagadnień bieżących. Etyka katolicka nie może nie zbliżać się do polityki. Jest to jej żelazna konieczność, narzucona Kościołowi od samego zarania jego istnienia. O zupełnej rezygnacji Kościoła z życia politycznego może mówić tylko ten, kto nie zdaje sobie sprawy z zależności wzajemnej wszelkich form działalności ludzkiej. Do takiej rezygnacji dążą z jednej strony laicyści i wolnomyśliciele wszelkiego autoramentu, a na biegunie przeciwległym politycy totalistyczni i neo-pogańscy, zmierzający przez sparaliżowanie Kościoła do przewrotu moralnego w duchu pogańskim.

Uchwały pierwszego Synodu polskiego dotyczą wszystkich zagadnień moralnych i społecznych, t. j. jak się już powyżej rzekło, w szerokim sensie: politycznych.

Podzielamy też opinię p. Koskowskiego, że w Polsce „trzeba stworzyć, a raczej pogłębić styl chrześcijański“. Uczą nas tego Ukraińcy, którzy wykorzystują częstochowski synod dla zasugerowania nam Polakom stylu katolickiego, a równocześnie i to od lat dla stylu chrześcijańskiego za pieniądze cerkiewne wydają „Diło“ i inne cerkiewne pisma, walczące o zdobycie wpływów na prawosławną cerkiew w Polsce. Jak dalece dbają o rząd dusz prawosławnych w Polsce, dowodem tego Zjazd UNDO, który specjalną rezolucję poświęcił sprawom prawosławnej cerkwi. A do prowidu UNDO weszli wybitni dostojnicy katolickiej cerkwi gr. kat. i oni tam będą walczyć o styl chrześcijański, ale ukraiński, pozostawiając nam Polakom styl tylko katolicki.

—o—

STANISŁAW LIPIŃSKI

Zmiana ideowych drogowskazów w ruchu ukraińskim

Zjazd UNDO zademonstrował pustkę ideową Ukraińców naszej dzielnicy i całą bezsilę ukraińskich „prowidnyków“. Zespół tych kawiarnianych polityków urządza się we Lwowie wygodnie i ze Lwowa za skarby nie rusza się, gdyż uważają, że swym istnieniem, kawiarnianą polityką i „subtelnościami“ polityki antypolskiej zbawiają świat i ludzkość.

Rozfanatyzowany dół ukraiński dawał się nabierać przez jakiś czas na „zbawcze“ kursy polityki na Berlin, czy Moskwę, na politykę osób Dmytra Lewickiego czy innego Mudrego. Kiedy ukraińskie masy się przekonały, że każdy z tych kursów politycznych stawał się zawodny, — zaczęły się one zastanawiać, dlaczego mają zwalczać Naród Polski.

Nie da się bowiem zaprzeczyć, że za czasów polskich powodzi się Ukraińcom lepiej, niż to miało miejsce za czasów austriackich. Kwotami milionów złotych corocznie oblicza się inwalidzkie renty, wypłacane z polskiego Skarbu Państwa ukraińskim inwalidom. Rozbudowuje się stolica dzielnicy miasto Lwów i inne miasta i miasteczka, w których Ukraińcy coraz częściej znajdują pracę i zarobek w handlu i w rzemiośle. Z różnych źródeł i rozmaitymi strumykami płynie polski państwowy pieniądz, tak z kas skarbowych, jak i z banków państwowych do kieszeń ukraińskich odbiorców. Ukraińska firma Łomagi liczy nie tylko więcej polskich niż ukraińskich klijentów, ale wśród tych klijentów odbiorcami są polskie instytucje państwowe. Ukraińscy rzemieślnicy otrzymują państwowe zamówienia nawet z Warszawy, a ukraińskie fabryczki cały swój towar sprzedają Poznaniowi.

Równocześnie ukraińska prasa codziennie się rozpisuje na tematy niepowodzeń Ukraińców w Rumunii i w Czechosłowacji a przede wszystkim w Rosji. Wieś ukraińska porównuje swój los z tragicznym losem chłopa sowieckiego i dlatego ukraińskie włościaństwo chce „dogadać się z Polakami“, — i dlatego, że w Polsce ukraińska wieś się rozbudowuje i dla osiągnięcia wyższych szczebli życiowych.

Głównie zaś ukraińską wieś zmęczyli sami Ukraińcy. Warto porozmawiać z ukraińskimi niewiastami ze związku p. Rudnickiej. Czegoż to od takiej ofiary nie żądają. Ma żyć jak święta. Narzuca się jej strój, sposób zachowania, postępowania i td. i to tak nahalnie, że wiele z nich szuka „wyzwolenia“ w małżeństwie z Polakami. Chłopu ukraińskiemu własny ruch zagrabił najlepsze „dobro“, jakim był zaszczyt doprowadzenia syna do stanowiska proboszcza cerkwi gr. kat. Obecnie chłop ukraiński nie pragnie dla syna księżowskiej kariery, gdyż nie rozumie i nie chce się pogodzić z księdzem celebsem.

Materialnie Ukraińcy swojej wsi już nic więcej dać nie mogą, a jak coś dają, to tak każą się chwalić i tak wypominają swoje „usługi“, jak zatruli pochwałami dobrodziejstwa swych mleczarń, które zresztą pozbawiły dzieci ukraińskiej wsi ostatniej garstki tłuszczu, jaki był zawarty w niezbieranym mleku.

Wieś ukraińska jest też zmęczona wieczną żebraniną na deficytowe towarzystwa „Ridnej Szkoły“, „Proświt“ i td.

Z tych i z wielu innych powodów ruch ukraiński tu w Małopolsce przestał być modny, ciekawy i atrakcyjny. Jedni Ukraińcy szukają nowinek na Wschodzie, inni zaś i w coraz większej mierze zwracają się ku Narodowi Polskiemu i ten zwrot ku Polsce został paradoksalnie zamanifestowany w demonstracyjnych oklaskach, które na zjeździe UNDO otrzymał poseł Baran. Oklaski te były tak charakterystyczne, że wyga Dmytro Lewicki musiał za nie zjazd UNDO strofować.

Ale nie ten paradoksalny moment był charakterystyczny dla zjazdu UNDO. O wiele ważniejszy jest fakt, że zjazdowi nie można było otwarcie zaproponować zerwania normalizacji polsko-ukraińskiej.

Dwie są tylko alternatywy wyjaśnień tej niemocy przeforsowania kursu antynormalizacyjnego. Albo delegaci UNDO nie byli politycznie wyrobieni i tym się tłumaczy „niemożność" zrozumienia przez Zjazd antynormalizacyjnych wystąpień „prowidnyków" UNDO". Albo my mamy rację, gdy uważamy, że chłopi ukraińscy czują się w Polsce tak dobrze, iż delegatom UNDO nie można było zaproponować nawet zerwania i porzucenia taktyki normalizacyjnej.

Na zjeździe wytworzyła się sytuacja „gadał dziad do obrazu" i nawet autorytet katolickiego demagoga Kuźmowicza był za mały dla narzucenia platformy antynormalizacyjnej.

Nastroje zjazdu UNDO udzieliły się „opozycji" Mudrego. Zrozumieli, że demagogią antypolską daleko nie zajadą. Tej prawdy zjazdowej Mudry nie mógł zrozumieć, jak nie rozumie charakteru swych rozmów z Rosjanami. Nie ukrywajmy prawdy, Mudry przegrał zjazd UNDO. Nas cieszy, że przegrał stawkę z winy swoich rodaków, którzy zrobią z niego marionetkę. Przecież nikt nie uwierzy, że Mudry będzie mógł w „prowidzie" UNDO przeciwstawić się takim spryciarzom jak Łucki, Holjan, Kuźmowicz czy Lewicki. Nie on nimi będzie kierował, tylko na ich żądanie w sejmie będzie musiał występować „antypolsko" — w przeciwnym razie nawet przez jeden dzień nie będzie prezesem UNDO.

Przegrał też przeciwnik Mudrego, słynny już redaktor Iwan Kedryn. Delegaci zjazdu wydali o nim opinję. Zjazd zrozumiał, że nie można równocześnie pisać po i pro „polsku" w Warszawie i po „ukraińsku" w opozycyjnym lwowskim „Dile", które to „Diło" bojkotuje nawet polskie radio (przesunięcie polskiego programu po zagranicznym programie). Zjazd wyczuł, że nie można w Warszawie ubolewać nad ukraińskim „zachwytem" dla rosyjskiego radia, a we Lwowie w „Dile" „lekceważyć" polskie radio. Nie wolno też w Warszawie kłamać o zaniku kompleksu rosyjskości wśród Ukraińców, wtedy, gdy w „Dile" p. D. Lewicki boleje nad wzrostem nastrojów rosyjskich wśród Ukraińców.

Kedryn przegrał u miejscowych rodaków, kopnęli go swoi rodacy, za to pozostał mu wierny druh Bączkowski z Warszawy i inni „z zawodowego związku polskich hrabiąt", zgrupowanych w „Buncie Młodych — Polityce".

Przegrana Kedryna przyjęta została z ulgą i przez Ukraińców i przez miejscowych Polaków. Jak widzimy więc i na tym odcinku wspólnie tu w Małopolsce Wschodniej odnosimy się i oceniamy... Kedrynów.

Zjazd UNDO to nieciekawy fragment z życia ukraińskiego. Nikogo nie zbudował i nikt się nim nie zachwyca. Oczyścił atmosferę polityczną i to coś znaczy.

Wartość zjazdowi UNDO nadać możemy tylko my Polacy, gdy zaczniemy lekceważyć prowidnyków, a naprawdę uczciwie i serdecznie i bez chytrości zwrócimy się bez pośredników do obywateli Państwa Polskiego narodowości ukraińskiej. Ci chcą się zbliżyć do Państwa Polskiego. Oni naprawdę dość mają „swoich prowidnyków". Ta grupa obywateli Państwa Polskiego instynktownie odsunęła się od O. U. N., a teraz dla niej obce staje się U. N. D. O. Potraktujmy ich jak winniśmy traktować obywateli państwa, a Mudry stanie się tak lojalny, jak po nauce zjazdu stał się barankiem Kuźmowicz czy Lewicki.

Nauka Zjazdu UNDO jest tak wielka i jest tak duża, że stary Kość Lewicki nie mógł się znaleźć w prowidzie UNDO. Nie mógł się znaleźć w prowidzie ten, co widzi, że „jego" masy przekreślają opozycję i garną się ku Narodowi Polskiemu. Kość Lewicki był opozycjonistą naszym i został nim wiernie do końca. I tacy nam Polakom są potrzebni. Duch Kościa Lewickiego zaciążył na „uchwałach" UNDO, ale te są papierowe i bez znaczenia.

——o——

Dr. H. J. R.

Międzynarodówka w obronie ks. dr. Zöcklera

Ogólnoniemiecki Zjazd składa hołdy w Stanisławowie i prosi o policję

Nareszcie prowodyrzy Niemców małopolskich zabrali głos w sprawie rewelacyj „Woli i Czynu" o współpracy hitlerowsko - ukraińskiej. — Wierni zasadom, obowiązującym w dzisiejszych Niemczech, menerzy niemieccy urządzili aż dwa zjazdy, na których spontanicznie — oczywiście — uchwalono rezolucje protestujące. Pompatyczny i pełen patosu styl protestów pozostaje w rażącej sprzeczności z ubóstwem treści, ale widać, że nie było żadnych rzeczowych argumentów i dlatego odważni Niemcy schronili się pod skrzydła opiekuńcze deklaracyj polsko - niemieckich z 5 listopada 1937 i... wołają o policję. Niech rząd zakaże pisania o akcji Niemców małopolskich, bo jak nie, to „cała grupa narodowa zawiodłaby się w swoich pojęciach o wierności, prawie i wierze".

Na wstępie kilka słów wyjaśnienia o stanie faktycznym. Otóż, najpierw, dnia 10 grudnia, odbyło się we Lwowie posiedzenie Rady Niemieckiej dla Małopolski (rezolucję ogłoszono w „Ostdeutsches Volksblatt" z datą 19 grudnia), a dnia 19 grudnia zjechało się do sali „Niemieckiego Domu" w Stanisławowie, siedzibie pastora dra Zöcklera „ponad 50 przedstawicieli z najrozmaitszych osiedli i miejscowości Małopolski". Przebieg tego zebrania opisuje „Ostdeutsches Volksblatt" w dwu numerach, z dnia 2 i 9 stycznia, pod szumnym tytułem „Gegen Verleumdung und Lüge. Protestversammlung der evangelischen Deutschen Kleinpolens" (Przeciw oszczerstwom i kłamstwom. Protestacyjne zebranie ewangelickich Niemców Małopolski). Równocześnie w miesięczniku ks. dr. Zöcklera „Evangelisches Gemeindeblatt", z datą 20 grudnia, zamieszczono dwa artykuły niepodpisane, pióra prawdopodobnie dr. Zöcklera, z których jeden zatytułowany jest „Die evangelische ukrainische Bewegung in unserem Lande" (Ewangelicko ukraiński ruch w naszym kraju), a drugi: „Zur Richtungstellung und Abwehr" (Dla sprostowania i obrony). Ten ostatni artykuł przedrukowany też został na naczelnym miejscu organu lwowskich hitlerowców.

Po tym nieodzownym przedstawieniu stanu faktycznego, przystąpmy do analizy rezolucyj, które bez określenia „gewałt" niemal że „gewałt" wołają. Niewiele brakowało, a padłoby naprawdę takie wołanie. Wbrew bowiem tytułowi, że chodziło w Stanisławowie o zebranie protestacyjne ewangelików - Niemców, ściągnięto tam także, „swoich" oczywiście, Ukraińców i Polaków, którzy przemawiali na tym zebraniu nawet w swych językach macierzystych, t. j. po polsku i ukraińsku. I dziwne tylko, że nie zaproszono także żydowskich nauczycieli gimnazjum niemieckiego we Lwowie, bo wtedy komplet międzynarodówki byłby zupełny i zebranie trójjęzyczne przemieniłoby się w czterojęzyczne, by rozeszło się na cztery strony świata. Zresztą, kto wie, może i żydów do kompletu także do Stanisławowa ściągnięto, by pokłon bili przed dr. Zöcklerem, a tylko „Ostdeutsches Volksblatt" nie miało odwagi o tym napisać. Bo jakże! Drukuje mowy zastępcy Führera Hessa, wodza Niemców sudeckich Henleina, chwali się, że „nasze dorastające pokolenie przyznaje się bez zastrzeżeń do narodowego socjalizmu", a tu wyjechać z nieczystą, według rasizmu, mniejszością, którą się z gimnazjum swoim zatrudnia.

Swoją drogą, dr. Zöckler wyrządził małego psikusa swoim pretorianom z tygodnika lwowskiego. Broniąc się bowiem we własnym religijnym miesięczniku przed tytułem „patriarchy ukraińskiego" i ganiąc pobłażliwie prof. Kocha za nieskromne przyznanie mu tego tytułu, który za prof. Kochem „Wola i Czyn" zacytowała, ks. dr. Zöckler wyznaje, że zaczął swoją pracę najpierw w południowej Rosji, a potem w Stanisławowie, jako misjonarz wśród żydów. Ks. dr. Zöckler zastrzega się jednak od razu, jak ta misja wśród żydów miała wyglądać. Pisze dosłownie: „Swoje zadanie misyjne widziałem nie w tym, aby poszczególne człony narodu żydowskiego przeprowadzić do kościoła ewangelickiego, ale w tym, by wewnątrz małych ewangelickich gmin Europy południowej, w miarę możności, stworzyć twórczy życiowo protestantyzm, który byłby w stanie mieszkającej dokoła w przeważającej masie ludności nieewangelickiej dać obraz tego, czem jest właściwie wiara ewangelicka i kościół ewangelicki. Sam wiem najlepiej, jak doskonale to mi się to udało..."

Wróćmy jednak do rezolucyj. Rada Niemców była lakoniczna. Nie wymieniła nawet „Woli i Czynu", odwoływała się tylko do ostatnich deklaracyj polsko-niemieckich w sprawach mniejszości i wyraziła zdziwienie, za ataki na Niemców pojawają się także w oficjalnych pismach „tych kierunków grupy rządowej, których przedstawiciele podczas ostatnich wyborów sejmowych, gminnych i miejskich oficjalnie zabiegali o głosy niemieckie, m. in. przemawiali także na zebraniach dla niemieckich wyborców Lwowa w sali gimnastycznej Gminy ew. i głosami wyborców niemieckich zostali wybrani."

Cenimy dyskrecję autorów rezolucji, ale osobiście wolimy szczerość. O głosy Niemców w sali Gminy ew. zabiegała nie grupa „Woli i Czynu", ale pos. Stroński podczas wyborów do Rady Miejskiej we Lwowie. Stwierdzić jednak należy, że sojusz zakończył się osobliwie; Niemcy naogół nie głosowali, a kolejarze niemieccy na Lewandówce, którzy poszli do urny, oddali swe głosy na listę... socjalistyczną (P. P. S.). Rzeczy te dadzą się sprawdzić, a wiedzieć o nich powinni przede wszystkim prowodyrzy niemieccy.. Lepiej więc nie udawać i nie mówić półgębkiem, bo takie obyczaje na naszym terenie nie znajdą uznania. Trzymać się panowie prawdy obiektywnej!

Na zebraniu w Stanisławowie nastrój był już odmienny. Tam urządzono widowisko w stylu imprez hitlerowskich w Trzeciej Rzeszy. Grzmiano i pomstowano. Słowa padały mocne, ale treści w nich nie było. Same frazesy. To lepiej podobno działa na sprowadzoną z całego kraju reprezentację, która miała wyrazić oburzenie.

Pierwszym mowcą był delegat ze Stryja, p. Mohr, który zapewnił dr. Zöcklera o wierności i pełnym poparciu ze strony całego nauczycielstwa szkół prywatnych ewangelickich w Małopolsce. Występ ten nikogo nie zdziwił. Jeżeli nauczyciele niemieccy dostają ze szkatuły superintendenta Zöcklera specjalne dodatki, o których głucho w księgach szkolnych i o których często nie wiedzą członkowie rad szkolnych, to czy dziwić się, że na pierwszy ogień poszła gwardia nauczycielstwa? Kto dostaje pensję uboczną, zaciąga tym samym pewne zobowiązania. Dziwny w drukowanem sprawozdaniu jest tylko inny ustęp mowy p. Mohra, który mógł nie wiedzieć, co potem nastąpi i dlatego z emfazą wołał: „Tylko renegaci są zdolni do takich czynów haniebnych. Prawdziwy Polak nie przyłoży ręki do takiego dzieła". Na czym polega gaffa „Ostdeutsches Volksblatt" która ten ustęp zamieściła, zaraz zobaczymy.

Narazie przyjrzyjmy się samej „głowie" Niemców małopolskich. P. Bolek wszedł na trybunę. Spodziewamy się czegoś mocnego w obronie „skrzywdzonego" pasterza owczarni niemieckiej. Lecz cóż? Pan Bolek niczym Göbbels, grzmi i wali ostrymi określeniami, a tu nagle wyciąga list zmarłego przed kilku laty Polaka-ewangelika i opinię nieboszczyka z przed 4 lat uważa za jedyny wartościowy argument. O nieboszczykach nie powinno się źle mówić i dlatego nazwisko owego Polaka-ewangelika pominiemy, zaznaczając jednak, że ten Polak za czasów austriackich był wzorowym c. i k. obywatelem, potem znowu w okrese inwazji odznaczał się jako Moskal, a wkończu, gdy Niemcy dostarczali mu pracy zmienił po raz trzeci narodowe przekonania. I dlatego inną zgoła niż zamierzał p. prezes Bolek wymowę mają jego słowa: „Gdy żywi milczą, pozwólmy przemawiać nieboszczykom."

„Wolę i Czyn" wymienił po raz pierwszy dopiero następny mowca, dyrektor gimnazjum zoecklerowskiego w Stanisławowie, Polak A. Różek. Przemawiał on po polsku i według tygodnika niemieckiego powiedział m. in. „...my nie mamy potrzebę (tak **potrzebuje** znać gramatykę pan dyrektor) się bać. Mnie wstyd, że się to robi (co kochany panie dyrektorze?

WŁADYSŁAW ŚLEDZIŃSKI

Znany Doboszyński

W ostatnim num. „Polityki — dawniej Bunt Młodych" — organu młodych hrabiów (jak określił go kiedyś Rzymowski), ukazał się ogromny, dwukolumnowy artykuł K. Studentowicza p. t. „Nieznany Doboszyński". Tytuł tego artykułu ma w sobie coś z egzotyzmu: przypomina „nieznany kraj" lub „nieznanych ludzi". Co za wspaniałe odkrycie! — pomyśli czytelnik. Nikt nie znał Doboszyńskiego i oto „Polityka dawnego Buntu Młodych" przypomina go nareszcie. Szkoda tylko, że przy czytaniu tego artykułu doznaje się przykrego rozczarowania: zbyt wyraźnie przebija z niego jakaś przyjacielska czy koleżeńska przysługa. Więcej nawet: doznaje się wrażenia, że to przed zbliżającą się rozprawą sądową „narodowego" bohatera myślenickiego pragnie się go przedstawić w roli znacznie korzystniejszej, niż to wynika z aktu oskarżenia. Ale, niestety, jest to daremny wysiłek.

Artykuł Studentowicza jest recenzją (spóźnioną o kilka lat!) książki Doboszyńskiego p. t. „Gospodarka Narodowa", której wartość fachowcy ocenili już dawno bardziej niż sceptycznie. Ale nie o to chodzi. „Polityce dawnego Buntu Młodych" też nie o to chodzi. Autor artykułu stwierdza rzetelnie: „Doboszyński nie jest ekonomistą; jego braki w zakresie znajomości procesów gospodarczych są wręcz przykre, ale jest za to myślicielem..."

I odtąd zaczynają się superlatywy: „Doboszyński jest radykałem... Doboszyński jest rewolucyjny w swoich poglądach moralnych... Jest propagatorem rewolucji moralnej... Radykałem, a przy tym nie demagogiem. Jakież to rzadkie w naszej skarlałej epoce zjawisko! Nie znajdziemy u niego tak popularnego dzisiaj odsądzania ziemian od czci i wiary. Wyraża się o nich raczej z sympatią, gdyż ziemianie w niepodległej Polsce stanowią warstwę raczej upośledzoną... Jest bezwzględnym przeciwnikiem wywłaszczania bez odszkodowania... Doboszyński jest typem radykała wolnego od wszelkiego doktrynerstwa. Tkwi w nim zamiłowanie do życia skromnego, przenikniętego pracą i kontemplacją..."

I potem, jako „próbka" jego genialnych myśli, cytat z „Gospodarki Narodowej": — „Pod wpływem Marksa organizacje robotnicze powstawały, by wymusić wysokie płace i możliwie małą ilość pracy..."

Oto ...nieznany Doboszyński.

„Polityka dawnego Buntu Młodych" zapomniała jednak, że Doboszyński jest doskonale znany jako *myśliciel* ze swojego słynnego „Słowa ciężarnego". Sięgamy tam właśnie teraz, do tej skarbnicy „narodowej" myśli, aby nieznanemu Doboszyńskiemu przeciwstawić Doboszyńskiego *znanego*.

Jak wiadomo, w r. 1931 wyszła z druku powieść Doboszyńskiego pt. „Słowo ciężarne". Nie zamierzamy mówić o jej zaletach artystycznych. Zupełna niepopularność tej książki jest wskaźnikiem jej wartości. Ale pragniemy zwrócić uwagę na ideową treść tej historii o tragicznej megalomanii człowieka, którego polityczne przeżycia oraz pełen cynizmu stosunek do spraw społecznych nieodparcie przemawiają za autobiograficznością jego charakterystyki. Akcja „Słowa ciężarnego" nie wymaga wnikliwej analizy, rozwija się bowiem prostolinijnie: student Witek, w chwilach wolnych od romansu z kochanką, Żydówką Alą, robi karierę polityczną jako demagog, aż w końcu zostaje podejrzany o prowokację i „wykończony".

Zacznijmy od cytatu, świadczącego o Doboszyńskim, jako „propagatorze rewolucji moralnej"; oto pierwszy kanon tej moralności: „W społeczeństwie porządek musi być, a świętym przywilejem jest prawo studenta do dziewiczej nocy. Student jest dla dziewczyny oknem otwartym na świat, może kiedyś zostać dyrektorem albo prezydentem. Cóż dopiero jak się trafi chłopiec przystojny i *urodzony*".

Studentowicz twierdzi, że Doboszyński jest radykałem, a przy tym nie demagogiem i określa to jako „rzadkie w naszej skarlałej epoce zjawisko". Ale z tego, co Doboszyński bardzo obrazowo pisze o demagogii w swoim „Słowie ciężarnym", należy wyciągnąć wniosek krańcowy inny: Witek „miewał kochanki, które doprowadzało do miłosnego szału jedno dotknięcie w jakimś specjalnym miejscu ciała, chytre połaskotanie w pozornym bezplanie błądzących rąk: — jeśli to się nazywa demagogią w stosunku do masy, to chciał być demagogiem".

Problem *masy* zajmuje w powieści Doboszyńskiego miejsce najważniejsze. Cała akcja rozgrywa się właściwie na tle *masy*. Charakterystyczne przy tym, że stosunek bohatera do masy na zawsze podkład... erotyczny. Przykład: gdy koleżanka Witka, działaczka społeczna Olena mówi: To jest mój rodzaj pracy, proszę pana. Trzeba pracować dla społeczeństwa, poświęcać mu cały swój czas, jest u nas tyle do zrobienia, — Witek odpowiada: Ale sobie pani ponury zawód obrała... — Olena: Przypuszczam, że pan robi to samo. Przecież pan przemawia, aby ludzi pouczać, uszlachetniać. Robi pan to samo co nauczyciel w szkole... — Witek: Ja mówię, bo to jest moja pasja, tak jak inni grają w piłkę lub na fortepianie. Zresztą tu chodzi o wyższe względy natury erotycznej... Kocham się w masie. W tych masach, z którymi flirtuję... Widzi pani, można tak samo mieć stosunek z masą jak i z kobietą.

I dalej, w innej okoliczności: „Jeśli się rozhuśta kobietę do ostateczności, to trzeba jej zrobić dziecko, bo będzie chodzić w krzaki z kim innym. Rozrajcował pan masę, trzeba być konsekwentnym. Nie wolno się bawić masami".

Na kartach tej posępnej epopei politycznej, od początku do końca, powtarza się z chorobliwym maniackim uporem słowo *masa*. Doboszyński rozkoszuje się *masą*. Słowo to ma dla niego wyjątkową wagę, jest równoznaczne z pojęciem społeczeństwa, narodu, ludzkości. Czytając „Słowo ciężarne" podkreśliłem wszystkie zdania, zaczynające się od słowa *masa*. Gdy później odczytałem podkreślone zdania, zdumiony byłem z jaką niezwykłą wyrazistością przebija z nich specyficzna filozofia autora. Niektóre z nich są dwuwyrazowe, inne rozwijają się w paradoksalne skojarzenia, ale z treści ich zawsze prawie w stosunku do masy przebija pogarda, szyderstwo, a czasem nawet cynizm.

Przykład: „Masa wstaje. Masa pracuje. Masa schyla karki. Masa nic już nie rozumie. Masa dusi w sobie tęsknotę i kłania się w pas jak robili ojcowie. Masa nie ufa. Masa nie rozumie. Masa krwawi w milczeniu, lecz gniew w niej wzbiera. Masa już nie jest myślą przy swojej robocie. Masa wygląda godziny swojego człowieczeństwa. Masa słucha. Masa wróciła do niego jakby skruszona, z poczuciem winy, że go zdradziła. Wybudowane drogi były owocem jego stosunku z masą. Czuł się pewnym masy i jej przywiązania. Masy należało prowadzić delikatnie za zmysły i serce. Masa jest niespożyta, jako ta gleba, którą słońce pali i mróz ziębi, zawsze była i zawsze będzie, choćby nie wiem jakie pioruny z nieba biły, jednego roku zje więcej a drugiego mniej, ale zginąć nie może, bo nie ma dla niej śmierci ani urodzenia... Masa czuje niejasno, że jest chora psychicznie. Masa idzie z pochyloną głową, zapatrzona w końce własnych butów. Masa stoi na niskim poziomie umysłowego rozwoju. Masa się cieszy, śmiech idzie z brzucha aż oczy łzami zachodzą. Masa chce, żeby się coś przydarzyło, zbyt już długo spokojnie pracuje, za dobrze się prowadzi od pewnego czasu. Masa przestępuje z nogi na nogę, coś trzeba zrobić, by się wyładować, temperament przelewa się po kościach i spać nie daje! Masa wdychiwała zapach krwi. Masa lubi chodzić na pogrzeby. Masa jest czysta, ale jest jak dziecko histeryczne w żalu i zabawie. Masa jest równie podła jak jej przewódcy. Masa milczy. Masa nie śmie wzroku oderwać od ziemi. Masa jest omdlała i rozprężona, wszystkie wiązadła psychiczne w niej się rozluźniły".

Takich zdań o *masie* można by cytować *masę*. Ale i takich też:

„Bał się Witek uczynić cokolwiek dla zmniejszenia swojej popularności, bo drżał, że każdej chwili może się znów ktoś zjawić, kto go zastąpi w wyobraźni masy. Nie wystarczyło ją (masę) uwieść raz, trzeba ją było uwodzić bezustannie, aby się nie wymknęła sercem z pod jego władzy".

Przyjaciel Witka: — „Stosunek mas do ciebie nie był w niczym podobny do normalnych uczuć, jakie żywią tłumy do swoich przywódców. To był stosunek głębszy. Zaczynałeś urastać ludziom jakby na proroka, kochanka duszy i wyobraźni. Na raz dowiadują się, że ich zdradziłeś w dziedzinie tych nieuchwytnych więzów erotycznych, które były między wami. Trudno, masa reaguje na to jak zwykła kobieta, kiedy ją zdradzi ukochany".

Jak wspomniałem, „Słowo ciężarne" przedstawia dzieje tragicznej megalomanii człowieka, który w chwilach wolnych od romansu z kochanką, Żydówką, robi karierę polityczną. Oto fragment tego romansu, niezwykle charakterystyczny dla Doboszyńskiego, jako „narodowego" myśliciela; kochanka zwierza się Witkowi: — „Będziemy mieli synka. Będzie miał twoje usta i moje oczy. No i będzie miał rasowy nos. Nasz synek będzie Judeopolak. Jakaś mieszanina Einsteina z Paderewskim. — I dalej: Słuchaj, Witku. Jakiś polski Bismarck czy Napoleon. Nasze dziecko nie będzie takie, jak każde inne. Dużo myślałam w ostatnich czasach o historii. Należymy oboje do narodów wybranych. Nasze zalety (rasowe) się uzupełniają. Gdyby je tak skupić i obarczyć nimi jednego człowieka zostałby władcą świata. I to będzie właśnie nasz synek. Będzie tym, na którego my i wy czekamy od wieków. Pamiętasz, co mówił Mickiewicz? Z matki obcej..."

Czy nie wygląda to na straszliwy paradoks, że słowa te wyszły z pod pióra człowieka, który zorganizował pogromowy napad na Żydów w Myślenicach? Jedno jednak jest w powieści Doboszyńskiego zdumiewające najbardziej: to, że bohater jej, postać o cechach wybitnie autobiograficznych, przeżywa wszystkie wzloty ducha i depresje, jakie autor przeżył w kilka lat później po napisaniu swojej książki. Wprost trudno uwierzyć,

---

Bo ze sprawozdania nie wiadomo, dlaczego pan tak delikatnie się wyraża), że się sieje panikę. (Aha, panie dyrektorze. Posadka w niebezpieczeństwie!) Zakończył pan dyrektor w bohaterskim stylu dawno-galicyjskim: „Przy dr. Zöcklerze stać będę!"

Sprawozdawca niemiecki donosi o entuzjaźmie dla mowcy polskiego, choć dziwnie jakoś pan dyrektor musiał przedtym słuchać uwag o renegatach. Dziwnie też musiał swego czasu czytać p. dyrektor uwagi pisma lwowskiego o tych, którzy „podeptali św. Sakrament małżeński Kościoła Katolickiego nogami" i w ten sposób stali się ewangelikami. Przypomniał sobie wtedy zapewne własne zabiegi w pewnym urzędzie w Wilnie, a potem jak to zjawił się już jako ewangelik w Stanisławowie i objął posadę dyrektora gimnazjum po Niemcu Schmalenbergu, który stracił u dr. Zöcklera posadę za to, że nakłaniał Niemców do głosowania na listę polską nr. 1.

Po Polaku p. Różku zabrał głos sam redaktor tygodnika lwowskiego p. Willy Ettinger, by też zapewnić dr Zöcklera itd.

Zkolei nastąpiła znowu tak troskliwie przestrzegana na zebraniach hitlerowskich zewnętrza zmiana. Ponieważ słowa wszystkich mowców na hitlerowskich zebraniach są te same, zmienia się dekoracje, aby słuchacz nie zasypiał. Tym razem zmianą było przeplatanie hołdowniczego zjazdu mową ukraińską. Przemawiał przedstawiciel protestantów ukraińskich pastor Jarczuk, który podobno przyniósł ze sobą całą teczkę kwitów, dokumentów i korespondencji. Mową pastora ukraińsko-niemieckiego podobna była, jakby się należało domyśleć, do buchalteryjnego, czy kasowego sprawozdania. Oto co pisze „O. V.": „Pastor Jarczuk dostarczył dowodów, że pieniądze dla ukraińskich ewangelików Małopolski Wschodniej płyną od protestantów całego świata" (to znaczy nie tylko od Zöcklera i Niemiec? — wyjaśnienia bliższego, jak tego dowiódł, nie ma w tekście. Przyp. red.). Mowa ukraińska była ostatnia. Aby nie przeładować zebranych mowami bliźniaczo, mglisto - patetycznymi, zadowolono się tylko odczytaniem jeszcze depesz i listów, a na końcu pastor Schick zrekapitulował wszystko i zaproponował rezolucje. Wyrażono dr. Zöcklerowi pełne zaufanie i najgłębsze podziękowanie, poza tym zaprotestowano przeciw itd. i uchwalono rezolucje „podać do wiadomości miarodajnym czynnikom". Szkoda tylko, że te słowa można, znając Niemców, rozmaicie komentować. Bodaj w tym miejscu przydałaby się jasność i szczerość.

Artykułem pastora dr. Zöcklera zajmiemy się oddzielnie.

Z ŻYCIA GOSPODARCZEGO

Organizacja handlu na wsi a „Społem"

W ciągu dalszym dyskusji zamieszczamy wywiad z Dyrektorem Związku „Społem" p. Stanisławem Dipplem

— *Jakie jest stanowisko P. Dyrektora względem dyskusji, jaka się toczy obecnie na łamach „Woli i Czynu" o roli Kółek Rolniczych, a „Społem" na wsi?*

— Zanim Panu odpowiem na pytanie, chciałbym bliżej sprecyzować założenia ideowe „Społem", to nam bowiem mocno ułatwi omówienie tego zagadnienia.

Twórcy naszego ruchu: Abramowski, Mielczarski, Wojciechowski krzewili zasadę, że w pracy spółdzielczej nie wolno kierować się ciasnym patriotyzmem organizacyjnym, a zawsze i wszędzie należy wyłącznie służyć sprawie spółdzielczości.

I to jest naszą linią wytyczną po dziś dzień. Dam Panu taki przykład.

Po wojnie światowej Związek „Społem" jednoczył w ramach swojej organizacji większość spółdzielni mieszkaniowych w Polsce. Mając jednakże w Związku przewagę Spółdzielni Spożywców doszliśmy do przekonania, że nie będziemy w stanie zapewnić Spółdzielniom mieszkaniowym należytej opieki fachowej, wystąpiliśmy z inicjatywą zorganizowania odrębnego Związku Spółdzielni mieszkaniowych i jako fundament tej organizacji uznaliśmy około 100 Spółdzielni, będących członkami naszego Związku. I obecnie w interesie idei spółdzielczej dążymy do powstania specjalnego Związku spółdzielni pracy i spółdzielni wytwórców, które są nam ideowo bliskie, do nas w znacznej mierze należą, lecz w naszym przekonaniu dopiero w ramach własnej organizacji będą żyć pełnią życia i rozwijać się zadowalająco.

Ale to nasze stanowisko, wynikające ze społecznych założeń naszej pracy nie jest rozumiane na terenach, na których działalność nasza nie jest znana. I stąd pochodzą nieporozumienia w ocenie naszych zamierzeń.

Sprawa, o którą Pan zapytał wymaga kilku wyjaśnień. Całkowicie zgadzam się z artykułem na temat organizacji handlu na wsi, zamieszczonym w n-rze 1 „Woli i Czynu", który obiektywnie omawia rolę i znaczenie Związku „Społem". Dorzucę tylko kilka uwag.

Teren Małopolski Wschodniej jest terenem gospodarczo zaniedbanym i dlatego wydaje mi się, że leży zarówno w interesie Państwa, jak i rozwoju ekonomicznego Małopolski Wschodniej, by wszystkie organizacje, które mogą ten teren podnieść gospodarczo, mogły się tutaj rozwijać swobodnie.

Związek „Społem" przychodzi jako wielka organizacja konsumencka, reprezentująca np. na terenie Śląska około 20 milionów złotych obrotu tamtejszych spółdzielni spożywców, które stanowić będą zorganizowany rynek zbytu dla tutejszego rolnictwa.

Muszę sprostować mniemanie, że „Społem" chce na terenie Małopolski Wschodniej zakładać swoje spółdzielnie. Związek „Społem" przeciwstawia się właśnie tzw. dekretowaniu ruchu spółdzielczego, t. zn. **sprzeciwia się zakładaniu placówek od góry.**

Życie wykazało nietrwałość tego rodzaju instytucji, to też Związek „Społem" nie założył na terenie Polski ani jednej placówki odgórnie! Związek „Społem" spieszy z fachową pomocą tylko tam, gdzie miejscowe czynniki domagają się tego. Nasz plan organizacyjny w szkoleniu i przeszkalaniu w zakresie umiejętności gospodarczych i administracyjnych, niezbędnych dla założenia i pomyślnego prowadzenia samodzielnych spółdzielni, powstałych jako dojrzała potrzeba miejscowa. Stąd nawet kursy spółdzielcze urządzane przez nas są tylko na życzenie czynników lokalnych. Do kursów tych zresztą przywiązujemy dużą wagę, bo jeśli dziś np. Dania imponuje nam swoim rozwojem spółdzielczości, to trzeba pamiętać, że jest to zasługą uniwersytetów ludowych, które dały ludności odpowiednie przeszkolenie ekonomiczne.

— *A jaki jest stosunek „Społem" do Związku Spółek Rolniczych i Zarobkowo - Gospodarczych?*

— Ze Związkiem Spółek Rolniczych i Zarobkowo - Gospodarczych mamy umowę, na mocy której o przynależności organizacyjnej danej spółdzielni powinien decydować jej charakter obrotów, t. zn. spółdzielnia spożywców należąca do „Społem", której obroty artykułami rolniczymi przekraczają 50% ogólnego obrotu towarowego może i powinna należeć do Związku Spółek Rolniczych i Zarobkowo - Gospodarczych i nadwrót — każda placówka Związku Spółek Rolniczych i Zarobkowo - Gospodarczych, której większość obrotów stanowią artykuły spożywcze, powinna być członkiem Związku „Społem". Oczywiście decyzję przejścia pozostawia się zawsze **dobrowolnemu** uznaniu danej placówki, nie wywierając na nią żadnego nacisku od góry.

— *A jakie jest zdanie P. Dyrektora o działalności Kółek Rolniczych na wsi?*

— Proszę Pana, uważam że podstawową komórką handlową na wsi powinna być spółdzielnia spożywców, jako najprostsza i najłatwiejsza forma, gdyż

a) wymaga niewiele kapitału,

b) wymaga niewiele wiadomości gospodarczych,

c) nie ma ryzyka handlowego, bo pracuje wyłącznie na pokrycie zapotrzebowania swoich członków. Dopiero w miarę naturalnego rozwoju, a ponad to zdobywanego doświadczenia, spółdzielnie spożywców na wsi mogą przekształcić się w spółdzielnie rolnicze - handlowe i wtedy powinny odejść do Związku Spółek Rolniczych i Zarobkowo - Gospodarczych. Mówiąc o Kółkach Rolniczych nie można pominąć ustosunkowania się Małopolskiego Towarzystwa Rolniczego do „Społem". Początkowo stosunek ten był nieprzychylny; obecnie M. T. R. wysuwa propozycje, by **dzisiejsze sklepy Kółek Rolniczych korzystały z Hurtowni „Społem"**, ale były organizacyjnie związane ze Związkiem Spółek Rolniczych i Zarobkowo-Gospodarczych. Tymczasem Związek „Społem" nie jest placówką handlową, której zadaniem byłyby jak największe obroty towarowe i płynące stąd nadwyżki operacyjne. My działalność gospodarczą łączymy ściśle z pracą organizacyjną, instruktorską i szkoleniową. I w tym leży sekret naszej pracy.

— *Powracając do Kółek Rolniczych, czy nie sądzi Pan, że tu właśnie na kresach, ze względu na stosunki narodowościowe, mogą one mieć pewien prymat nad spółdzielniami spożywców, które przecież w założeniach swych nie stawiają żadnych ograniczeń w przyjmowaniu członków?*

— Proszę Pana, jeżeli organizuje się spółdzielnię spożywców, to członkowie jej na zebraniu założycielskim mogą wprowadzić do swego statutu zastrzeżenia i ograniczenia dobrowolnie przyjęte, byleby nie podważały one zasad spółdzielczych. Zdarza się, że do statutu wprowadzane jest zastrzeżenie, że do spółdzielni mogą należeć tylko członkowie wyznania rzym.-kat. i nie ma żadnej instancji, która mogłaby to zastrzeżenie usunąć.

Spółdzielnia powstaje zawsze z woli członków i tej woli zbiorowej jest podporządkowana. Nie jest i nie może być instrumentem politycznym, ale zawsze i wszędzie zmierza do gospodarczego związania swoich członków i podniesienia ich dobrobytu. Tworzy podstawy gospodarki narodowej, opartej na samopomocy i współdziałaniu, a o to przecież chyba wszystkim nam chodzi.

że Doboszyński mógł 8 lat temu napisać te słowa:

„Źródłem jego katastrofy było wywyższenie się ponad tłum, przeciwstawienie się masom i wyolbrzymienie przez to swej indywidualności. Omal, że się nie wykoleił w roli, przerastającej jego siły moralne. Im głębiej się analizował, tym wyraźniej spostrzegał, że jest zwykłym człowiekiem, jak tysiące innych. Siłą woli i charakterem nie dorastał bynajmniej do wielkiego losu. Nie miał żadnych specjalnych zdolności poza talentem słowa, był średnio inteligentny, mało przedsiębiorczy i mało wydajny. Czytał o tym ze sto razy ,że przeznaczenie wielkich ludzi równa się przeważnie wielkiej tragedii..."

Czyż nie podobne jest to do słów rozczarowania po tragedii myślenickiej? A przecież na początku swojej działalności wśród mas Witek - Doboszyński „otrzymywał stosy listów, zaczynających od słów: „Prowadź nas... Pójdziemy za tobą. Tylko wskaż nam drogę. Wodzu nasz, z Tobą żyć dla Ciebie zginąć..."

Po przeczytaniu „Słowa ciężarnego" odnosi się wrażenie, że Doboszyński, idąc na Myślenice, wystąpił tylko w roli wyczarowanego przez siebie powieściowego bohatera, Witka i rolę tę zagrał z takim talentem i z takim sukcesem, jak jego bohater. Trudno jednak zgodzić się z „Polityką dawnego Buntu Młodych", dowodzącą, że Doboszyński jest nieznanym myślicielem .Ten wybór cytat, prawdziwych „złotych myśli", razem z... erotycznym stosunkiem do mas, przedstawiają nam Doboszyńskiego lepiej jako „narodowego" filozofa, niż ogromna, tendencyjnie obłudna i ogłupiająca „kobyła" p. Studentowicza.

W końcu jeszcze jedna uwaga: artykuł „Polityki" o nieznanym Doboszyńskim zaczyna się perfidnie „dopasowanym" cytatem: „Dwie rzeczy są, zdaniem Sienkiewicza, bezgraniczne: miłosierdzie boskie i głupota ludzka".

Otóż co do bezgraniczności miłosierdzia boskiego — sceptyk zwykle wątpi, ale głupota ludzka jest, istotnie, bezgraniczna. W tym wypadku jednak, cytat sienkiewiczowski, wytoczony przez „Politykę" pod adresem społeczeństwa, nie mającego najmniejszych złudzeń o wartości dorobku pisarskiego „narodowego" ekonomisty i myśliciela Doboszyńskiego, — jest jak bumerang w ręku dzikiego człowieka: powraca do miejsca, skąd został wypuszczony.

———o———

Apel do Pana Ministra Skarbu E. Kwiatkowskiego

Na terenie Warszawy występuje „wielki polonofil" p. Ostap recte Józef Łucki, ale nie z tych Łuckich, co nie wyparli się polskiego szlachectwa. Pan Łucki jest polskim senatorem i wielkim spółdzielcą ukraińskim. Korzystając z poparcia Ministerstwa Skarbu p. Łucki rozbudowuje ukraińskie spółdzielnie, i obdarzony jest „władzą" spółdzielczą w zakresie tak wielkim, jak nikt z miejscowych Polaków spółdzielców. On nakłada „podatki" na spółdzielnie w różnych skalach, on decyduje o tym, że nie publikuje się bilansów spółdzielni „Diła", on pozwala tej spółdzielni się zadłużać w skali nie przewidzianej ustawą i t. d.

Pan senator podobno zasiadać ma w Warszawie w różnych polskich instytucjach, w których poznaje tajniki polskiej gospodarki i to handlu zagranicznego.

Dopuszczamy go do tajemnic, wtedy, kiedy Polak nie może dostać sprawozdań ukraińskich spółdzielni mimo, że spółdzielnie te mają ustawowo ogłaszać swe bilanse dla orientacji i pewności kupieckich transakcyj, jakie ze spółdzielniami ma się zawierać.

Pan senator Łucki występuje też bojowo na zjeździe UNDO i to mocno za bojowo, już nie tylko w skali obdarzonego zaufaniem i „władcy spółdzielczego". W Warszawie jest „polonofilem", we Lwowie zaś tak namiętnym Ukraińcem..., że jego przemówienie na zjeździe U. N. D. O było najbardziej bojowe.

Powołując się na to bojowe wystąpienie p. Łuckiego zwracamy się do Pana Ministra z zapytaniem, czy nie uważa za konieczne zrewidować stosunku Ministerstwa Skarbu do ukraińskiej spółdzielczości, domeny wpływów p. Łuckiego.

Rodzina Łuckich coś za dużo skupia stanowisk. Jeden Łucki jest panem spółdzielczości, drugi w lwowskiej Izbie Rolniczej jest tak wpływowy, że likwiduje polskie pismo, a teraz p. senator swego powinowatego forsuje na sekretarza U. N. D. O.

Nas interesuje p. Łucki dlatego, że wiele bankructw przeżyła spółdzielczość ukraińska właśnie przez politykę. My obawiamy się, że gdy rodzina Łuckich za dużo agend skupi, wtedy może na tym ucierpieć spółdzielczość ukraińska i dlatego prosimy Pana Ministra o wyjaśnienie, czy uważa za konieczne tolerowanie polityki na terenie spółdzielczości ukraińskiej.

Wypowiadamy skromną opinię, że spółdzielczość nie może być odskocznią dla kariery politycznej, wystarczy gdy p. Łucki będzie się odkuwał „antypolskimi" wystąpieniami. Zapewniamy też Pana Ministra, że wielu ukraińców spółdzielców co najmniej tak dobrze, jak p. Łucki pokieruje spółdzielczym ruchem Ukraińców ,który wreszcie dostosowany być musi do wymogów polskiej ustawy spółdzielczej, t. zn. musi być apolityczny.

Praca Kół Gospodyń Wiejskich w Małopolsce Wschodniej

Z początkiem roku 1934 powstał „Związek Kół Gospodyń Wiejskich", obejmujący swą działalnością województwo lwowskie, stanisławowskie i tarnopolskie, a mający na celu rozwinięcie pracy kulturalnej i gospodarczej wśród kobiet wiejskich zorganizowanych w Kołach Gospodyń.

Przed utworzeniem Związku, pracę propagandową wśród kobiet prowadziło Małopolskie Towarzystwo Rolnicze za pomocą kursów gospodarczych i szkół wędrownych.

Z chwilą powstania Związku, opartego o specjalny statut oraz regulaminy dla Kół, zaczęły w szybkim tempie powstawać Koła Gospodyń, jako niezależna organizacja kobiet wiejskich, mająca na celu podniesienie poziomu umysłowego kobiet, podniesienie gospodarstwa kobiecego przez usprawnienie całego szeregu czynności wykonywanych przez gospodynie, zaoszczędzenie w ciężkiej pracy ich zdrowia i sił, tak bardzo potrzebnych w znojnym życiu rolnika.

Oprócz Wojewódzkiego Związku Kół Gospodyń zostały utworzone Oddziały Powiatowe, jako komórki organizacyjne niższego rzędu, którym podlegają bezpośrednio Koła Gospodyń, tworzone na terenie poszczególnych gromad.

Na czele Oddziałów Powiatowych jak i Kół Gospodyń stoją wybierane zarządy, prowadzące książki protokołów zebrań i kasowe, organizujące posiedzenia, zjazdy i t. p. Obowiązkiem Powiatowych Oddziałów jest wykonywanie programu pracy terenowej w myśl wskazań Zarządu Wojewódzkiego. W miarę rozwoju Kół powołuje się do pomocy w wykonywaniu prac fachowych specjalne instruktorki, angażowane przez Wydziały Powiatowe, które uzgadniają w tym kierunku całokształt prac wśród gospodyń wiejskich z Izbą Rolniczą.

W ciągu czteroletniej działalności praca na tym polu osiągnęła imponującą dynamikę. Rosła liczba członkiń i Kół. Powstawały nowe Oddziały Powiatowe, zwiększały się kadry instruktorskie. Dorobek pod tym względem na terenie trzech województw południowo - wschodnich przedstawia się następująco:

Województwo	Oddz.	Koła	Il. członkiń
Lwowskie	19	441	10.550
Tarnopolskie	10	239	5.278
Stanisławowskie	8	111	2.193
Razem	37	791	18.021

W ogólnym programie prac, zakreślonych na dłuższy okres czasu Związek K. G. W. prowadzi przede wszystkim propagandę zracjonalizowania sposobów odżywiania wsi:

a) przez konkursy ogródków warzywnych, mających na celu zakładanie wzorowych upraw warzyw niezbędnych dla odżywiania rolnika;

b) przez kursy przetworów owocowych i jarzynowych, które pozwalają gospodyniom przygotować odpowiednie zapasy na zimę z własnych zbiorów (konserwy, kiszonki, marynaty, susze, marmelady, kompoty, soki, powidła i tp.);

c) przez kursy gotowania, które uczą gospodynie taniego przyrządzania zdrowych i smacznych potraw, wykorzystywania produktów własnego gospodarstwa z zastosowaniem dużej ilości potraw z jarzyn w stanie świeżym lub z przygotowanych zapasów;

d) przez kursy pieczenia, które uczą sporządzania tanich bułek, placków, ciast, pierników i tp.;

e) przez kursy wędliniarskie, mające na celu wyuczenie umiejętnego podziału bitych sztuk i wykorzystania mięsa na marynaty, kiełbasy i inne przetwory mięsne.

Dalszy program prac obejmuje oddzielne i ważne zagadnienie higieny wsi. W tym celu lekarze i higienistki powiatowe, oraz specjalne własne higienistki Związku K. G. W. urządzają kilkudniowe t. zw. „Kursy Zdrowia", w czasie których wygłasza się odpowiednie pogadanki propagandowe, ilustrowane tablicami, fotografiami i filmami. W pogadankach porusza się sprawy związane z opieką nad matką i niemowlęciem, wychowaniem dzieci, higieną osobistą i mieszkania.

W bieżącym roku zapoczątkował Związek akcję sprzedaży tranu na większą skalę dla Kół Gospodyń Wiejskich, po cenie znacznie zniżonej w stosunku do ceny rynkowej (1.80 za 1 kg), co spotkało się z dużym uznaniem i zrozumieniem gospodyń wiejskich.

Poprawę higieny mieszkań i obejścia przeprowadza się przez konkursy czystości chaty wiejskiej, specjalnych ubikacyj do mycia, konkursy czystości obór, wzorowych kurników i wychowni drobiu, kursy z zakresu gospodarki mleczarskiej połączone z propagandą utrzymywania czystości krów, udoju mleka, czystości naczyń mleczarskich i tp.

Związek K. G. W. kładzie szczególny nacisk na sprawę wychowania dzieci. Stąd też w miesiącach letnich organizuje się specjalne półkolonie i dziecińce, które prowadzą wyszkolone instruktorki.

W r. 1937 urządzono na terenie działalności Związku 216 dzieciińców, na których przebywało 7.300 dzieci.

Wszelkie prowadzone kursy dają doskonałe wyniki. Gospodynie stosują nabyte wiadomości nie tylko z pożytkiem dla własnego gospodarstwa domowego, ale przyczyniają się również swoją uświadomioną działalnością do rozwoju zbytu rozmaitych produktów, podnoszących stale dochodowość gospodarstw wiejskich. Przede wszystkim rozwija się zbyt drobiu, warzyw, przetworów owocowych, wyrobów trykotarskich, bielizny, ubrań i tp.

Powiatowe Oddziały organizują okresowe (zwykle przedświątecznowiosenne i jesienne) jarmarki - kiermasze, urządzają własne kioski w czasie odbywania się pewnych imprez jak n. p. „Dni konia", pokazy bydła, wystawy, zjazdy regionalne i tp. W kioskach tych wystawia się głównie na sprzedaż chleb, bułki, serki, pierniki, drób, napoje bezalkoholowe i przetwory owocowe, warzywne i mięsne. Na terenie niektórych powiatów powstały już nawet stałe kioski i sklepy, jak n. p. w Sokalu sklep produktów wiejskich, w Łańcucie kiosk z nabiałem. W Przemyślu zorganizowano stałą dostawę do sklepów miejskich czarnego chleba i bitego drobiu. Ponadto Koła G. W. prowadzą przy sklepach Kółek Rolniczych oddzielne działy tekstylne, jak n. p. w Tarnopolu i Felsztynie (powiat Sambor), a z Buczacza dostarczają w ostatnich czasach większą ilość rękawic narciarskich do sklepów lwowskich.

Na szczególne podkreślenie zasługuje praca Kół G. W. w zakresie dostawy jaj do zbiornic jajczarskich, oraz dostawa drobiu. W roku 1936/37 dostarczyły Koła G. W. z różnych powiatów około 9 tys. kg drobiu żywego i bitego, wartości około 12.500 zł.

Zapoczątkowana akcja zbytu znajduje się w pełnym toku.

Wychodząc z Kół dłużej istniejących i odpowiednio przygotowanych, akcja ta idzie po linii słusznego rozumowania, że towar odpowiedniej jakości, starannie i estetycznie przygotowany daje gwarancję należytego zbytu wśród coraz to szerszych rzesz nabywców, a równocześnie pomnaża dochód danego warsztatu produkcji. W ten sposób daje się zauważyć wyraźne zjawisko pogłębiania się świadomości wśród posiadaczy drobnych gospodarstw wiejskich, że nieznaczny nawet nakład pracy celowej, umiejętnej i systematycznej prowadzi w szybkim tempie do podniesienia rentowności ich warsztatów produkcji.

Pracami organizacyjnymi i akcją zbytu zajmują się same członkinie Powiatowych Oddziałów i Kół, przy współudziale czynnika społecznego. Pracom tym patronuje Izba Rolnicza, przy pomocy specjalnego inspektoratu Kół Gospodyń Wiejskich.

Celem utrzymania stałego kontaktu, wzajemnego zapoznania się członkiń, oraz wspólnej wymiany myśli płynącej z dotychczasowych wyników pracy, oraz projektów na przyszłość, odbywają się częste zjazdy wojewódzkie, powiatowe i rejonowe.

Tegoroczny zjazd wojewódzki zgromadził we Lwowie w sali obrad ponad 600 delegatek, świadcząc wymownie o poważnej sile tej coraz lepiej rozwijającej się organizacji kobiet wiejskich.

Wychodzący stale dwutygodnik „Głos Gospodyń Wiejskich" we Lwowie stanowi korzystne i celowe uzupełnienie prac organizacyjnych, oświatowych i gospodarczych, informuje o rozwoju Kół, udziela odpowiedzi i porad na nadsyłane pytania, oraz prowadzi stały dział korespondencji prowincjonalnej.

Gospodynie wiejskie ambicjonują się w kierunku zamieszczania własnych artykułów w swoim czasopiśmie, nadsyłają chętnie fotografie i komunikaty z kursów i urządzanych przez siebie imprez, zjazdów, pokazów i zebrań.

Nakład 3000 egzemplarzy „Głosu Gospodyń Wiejskich" świadczy w naszych warunkach dość jeszcze słabo rozwiniętego czytelnictwa na wsi o dużej poczytności i popularności tej jedynej „gazetki" kobiet wiejskich.

Rosnące wciąż szeregi członkiń i powstające coraz to nowe Koła lokalne G. W. świadczą wymownie o żywotności organizacji, o rosnącym zrozumieniu dla zespalania wysiłków i wartości wspólnej pracy kobiet, zmierzającej do wydźwignięcia zagrody wiejskiej z dotychczasowego bezwładu, uświęconego tradycją prymitywu i niskiej skali wymagań życiowych.

—o—

Wysoczański musi wyjaśnić

W Sokalu sprzedano żydowi aptekę polską mimo, że Polak chciał tę placówkę odkupić. Sprzedał aptekę p. prezes Wysoczański. Wielki ten działacz narodowy objął spadek prezesury w stowarzyszeniu Polskich Przemysłowców i Kupców, które to stowarzyszenie zakłada we Lwowie polskie kramy i td., a które współpracuje z lwowskimi dmowszczykami. Współpraca jest tak ścisła, że to, co dokona Stowarzyszenie p. Wysoczańskiego, jest reklamowane przez dmowszczyków, jako ich dorobek. Takim samym też dorobkiem jest sprzedaż w Sokalu apteki polskiej w ręce żydowskie. Nie wątpimy, że p. senator Głąbiński ten dorobek swoich pupilów i współpracowników zechce wyjaśnić. Również „prezes" Sklarczyk wyjaśni w „Polskiej Pracy" wyczyn swego kolegi Wysoczańskiego.

O ile się okaże, że p. Wysoczański faktycznie aptekę sprzedał żydom i o ile Głąbiński—Sklarczyk sprawy tej sprzedaży nie wyjaśnią — natenczas będziemy musieli z tego powodu podnieść alarm na całą Polskę. Tylko Hitlerowi wolno Żydów zwalczać, a po dojściu do władzy tolerować żydowskich bankierów, żydowskie domy towarowe i td. Naród Polski jest za nadto kulturalny, by tego rodzaju polityką obłudy można było długo grasować politycznie i okłamywać Naród, uzurpując sobie równocześnie wyłączność do „reprezentowania" ideowej, narodowej myśli politycznej!

SPROSTOWANIE

Od b. komisarza „Narodnego Domu", p. Michała Baczyńskiego otrzymaliśmy nast. sprostowanie, które zamieszczamy, zastrzegając sobie jeszcze ew. ostatnie słowo w tej sprawie.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z artykułem zamieszczonym na stronie 4-tej Czasopisma Społeczno - Politycznego: „Wola i Czyn" Nr. 10. z dnia 20 grudnia 1937 r. pod tytułem: „Narodny Dom", proszę, na podstawie artykułu 19-tego Ustawy Prasowej, o łaskawe umieszczenie następującego sprostowania:

1) Nieprawdą jest, że gospodarka moja jako b. komisarza „Narodnego Domu" była latami niekontrolowana. Natomiast prawdą jest, że w każdym ważniejszym wypadku dotyczącym gospodarki w „Narodnym Domu", celem ułatwienia kontroli, przedkładałem zawsze Lwowskiemu Urzędowi Wojewódzkiemu, jako mojej Władzy Nadzorczej, jak najdokładniejsze pisemne sprawozdania jako też roczne bilanse oraz rachunki strat i zysków.

2) Nieprawdą jest, że tajemnice mojej gospodarki wymagają zbadania, natomiast prawdą jest, że tajemnice gospodarki mojej w „Narodnym Domu" zostały zbadane:

a) z ramienia p. inż. Voelpla przez specjalnie w tym celu uproszonego p. Dyrektora Różyckiego,

b) z ramienia zaś Urzędu Wojewódzkiego we Lwowie przez Wojewódzką Komisję Szkontrującą.

Dziękując z góry za uprzejmość, kreślę się wyrazami głębokiego szacunku

Michał Baczyński
b. komisarz rządowy „Narodnego Domu" i b. poseł na Sejm.
Lwów, dnia 3 stycznia 1938 r.

J. Kr.

Pod znakiem Rodła

Jubileusz 15-lecia Związku Polaków w Niemczech

„Troska o dolę ludu polskiego w Niemczech zniewoliła kilku mężów z gorącym sercem, z duchem poświęcenia, mężów o wielkiej roztropności do zrzeszenia wszystkich rodaków



Rodło, odznaka Związku Polaków w Niemczech

w Niemczech w Związek Polaków. Położyli podwaliny pod gmach, w którym wszyscy czujący się Polakami mają znaleźć schronienie.

Gmach ten z samych polskich dusz, z samych polskich serc, gorejących miłością do narodowości polskiej, do mowy polskiej, do zwyczajów polskich".

Tymi m. i. słowy ks. dr. Bolesław Domański, Prezes Związku Polaków w Niemczech, witał uczestników walnego zebrania tegoż związku, które odbyło się w dniu 15 grudnia 1937 r. w Berlinie, z okazji 15-lecia swego istnienia.

Świadomość i głębokie przeświadczenie, że ludność polska w Niemczech, pozostająca w większości na swojej ojcowiźnie, nie może wyrzec się bytu narodowego, spowodowały przed 15 laty powstanie organizacji Polaków w Niemczech osiadłych. Tak powstał

Związek Polaków w Niemczech,

założony w dniu 3 grudnia 1922 r. Związek ten nie jest bynajmniej jakąś ściśle scentralizowaną organizacją; nie ma nawet żadnych cech jednolitości organizacyjnej. Jest dostosowany ściśle do warunków miejscowych i obejmuje różne organizacje zarówno młodzieżowe, jak i starszego społeczeństwa, organizacje kulturalne, oświatowe, a nawet religijne. Jednolitość Związku występuje jedynie w solidarnym działaniu.

Zewnętrzną oznaką Związku Polaków w Niemczech jest tak zwane Rodło. Jest to graficzna stylizacja Wisły i Krakowa. Symbol ten uzewnętrznia głęboką łączność ludności polskiej z Macierzą. Znak graficzny Wisły i prastarego grodu królewskiego Krakowa zastępuje Polakom Orła, który jako oficjalne godło Państwa Polskiego, nie może być używany na obcym terytorium.

Organizowanie Związku nie było łatwe, — a 15-letni okres jego istnienia, to kolejne etapy systematycznej, nieustannej walki o prawa dla mniejszości polskiej. Granice, wykreślone po wojnie światowej odcięły od Macierzy około 1 i pół miliona Polaków, pozostawiając ich w Niemczech. — Olbrzymia większość to ludność rdzennie polska, osiadła od wieków na ojcowskiej ziemi. Śląsk Opolski, Krajna, Kaszuby, Ziemia Malborska, Mazury, Warmia, to zwarte obszary autochtonicznej ludności polskiej. Ludności polskiej napływowej, pochodzącej z emigracji jest w Niemczech ponad 200.000. Na Śląsku Opolskim żyje i walczy o swoją polskość 800.000 Polaków, na Krajnie i Kaszubach około 100.000, w Prusach Wschodnich około 400.000, w Westfalii około 150.000, a blisko 100.000 żyje rozproszonych w Niemczech Środkowych i reszcie Państwa. Rzecz jasna, że cyfry te nie są wzięte z oficjalnej statystyki niemieckiej. Statystyka bowiem narodowościowa w Niemczech jest sporządzana w sposób mistrzowski. Przepisy statystyczne pozwalają uznać za Polaków tylko tych, którzy władają polskim językiem literackim. Ludność polska na wschodnim pograniczu Niemiec, to przeważnie ludność wiejska, mówiąca gwarą kaszubską, mazurską czy śląską. Nie potrzeba być lingwistą, by wiedzieć, że gwara ludności wiejskiej to nie jest bynajmniej jakiś język skażony, lecz cenny zabytek archaizmu językowego dawnej Polski. Wiedzą o tem i Niemcy, ale notowanie ludności tej jako polskiej byłoby dla nich mocno żenujące, a imponująca cyfra autochtonicznej ludności polskiej, ujawniona w oficjalnej statystyce miałaby swoją wymowę.

Negowanie ludności polskiej w okresie antypolskiej propagandy posunęło się tak daleko, że gazety niemieckie podawały liczbę Polaków w Rzeszy na 20.000! Wspaniały mimo trudności rozwój Związku Polaków w Niemczech rozwiał te cyniczne kłamstwa. Dzisiaj już Niemcy przyznają, że Polaków w Niemczech jest około 750.000 (Berliner Morgenpost, 6. XI. 1937). Ze sprawozdań Związku Polaków wiemy, że jest ich

około półtora miliona.

Cyfra to naprawdę imponująca, której zresztą Niemcy uznać nie chcą, chociaż nawet statystyka niemiecka z roku 1925, wylicza 1,062.738 Polaków!

Praca organizacyjna Związku Polaków w Niemczech, napotykała na niesłychanie duże trudności, tym bardziej, że zwyciężyła zasada, by nie wchodzić w kompromisy czy porozumienia z żadnymi obcymi organizacjami, a utrzymać całkowitą niezależność i prowadzić zdecydowaną, otwartą walkę o należne prawa. Scementowanie wewnętrzne polskiego ruchu narodowego i porozumienie w r. 1924 ze Związkiem Mniejszości Narodowych w Niemczech, pozwoliło już w roku 1925 na wydawanie znakomicie redagowanego czasopisma mniejszości narodowych w Niemczech p. t. „Kulturwehr". Poza tym pismem, redagowanym w języku niemieckim a poświęconym sprawom mniejszości narodowych wogóle, Polacy w Niemczech posiadają własną prasę.

Prasa polska

w Niemczech obejmuje 6 dzienników, dwa pisma wychodzące trzy razy w tygodniu, oraz dwa miesięczniki, poświęcone młodzieży. Oczywiście, działalność publicystyczna i polityczna pism polskich jest mocno ograniczona, a ograniczenie to czasem prowadzi do absurdu i gnębienia dziennikarzy, jak to niedawno mieliśmy możność obserwować w stosunku do polskich gazet w Prusach Wschodnich. Pozostaje jedynie szerzenie spraw kulturalnych i oświatowych, oraz kultywowanie języka polskiego. Wzajemna współpraca pism polskich, jest całkowicie zgodna i harmonijna. Należy przewidywać, że obowiązująca ustawa prasowa, która nakazuje pisać w duchu narodowo - socjalistycznym, spowoduje coraz dalsze ograniczenia polskiego piśmiennictwa.

Bolączką ludności naszej w Niemczech jest

szkolnictwo,

niezmiernie słabo rozbudowane i nieliczne. Wystarczy nadmienić, że zaledwie 2% dzieci polskich ma możność uczenia się w języku ojczystym! Nie tylko celowy brak szkół powszechnych polskich zmusza rodziców do posyłania dzieci do szkoły niemieckiej, ale nawet tam, gdzie są szkoły polskie, zmusza się ludność szykanami i groźbami do oddawania dzieci szkołom niemieckim. Jeszcze gorzej wygląda sprawa szkolnictwa średniego. Na przeszło 100.000 uczącej się dziatwy szkolnej, mamy zaledwie dwa polskie gimnazja, w Bytomiu, i Kwidzynie. Pamiętamy doskonale, na jakie trudności napotykało otwarcie gimnazjum w Bytomiu. Nastąpiło to dopiero w roku 1932. Warto jeszcze dodać, że budowa gimnazjum w Kwidzynie, otwartego dopiero 10 listopada 1937 r. trwała kilka lat, a mury liceum polskiego w Raciborzu rozpadają się w gruzy wskutek zakazu dalszej budowy. Podobny los spotkał szkoły polskie na Kaszubach, wzniesione przez Polaków w roku 1930.

Drugim polskim czynnikiem w wychowaniu młodzieży, to religia. Ludność polska w Niemczech jest przeważnie katolicka. Niestety, i na tym polu Polacy są pozbawieni dostatecznej opieki. Brak przede wszystkim duchownych Polaków i to jest podstawą dążeń ludności polskiej do utworzenia akademii duchownej na Śląsku w Opolu.

Życie gospodarcze

Polaków w Niemczech, koncentruje Bank Słowiański w Berlinie. Bank czuwa nad interesami gospodarczymi ludności polskiej, przychodząc z pomocą fachową i materialną. Życie gospodarcze na prowincji ogniskuje się w spółdzielniach polskich, których jest około 30, skupionych w Związku Spółdzielni Polskich w Opolu. Po długich i zdawało by się próżnych staraniach, Związek Spółdzielni Polskich uzyskał własne prawo rewizyjne.

System totalistyczny wprowadzony w Niemczech w latach ostatnich skierował uwagę ludności polskiej na ustawodawstwo socjalne. Polska ludność wiejska, nie mając najmniejszej ochoty być „źródłem krwi narodu niemieckiego", według brzmienia ustawy o zagrodach dziedzicznych, musiała szukać środków obrony. Zakusy werbunkowe partii hitlerowskiej, wciąganie młodzieży polskiej do „Hitlerjugend" i przymusowej służby pracy, ograniczenia swobody prasy polskiej — zmusiły Polaków do obrony zagrożonego bytu narodowego. Dnia 5 listopada 1937 r. została przyjęta przez Hitlera delegacja Związku Polaków w Niemczech, przedkładając mu obszerne materiały, dotyczące życia i położenia ludności polskiej. Należy przypuszczać, że ostatnia umowa mniejszościowa polsko-niemiecka unormuje te stosunki w sposób możliwy do przyjęcia przez ludność polską.

Polacy w Niemczech, to w większości, jak wspomnieliśmy, ludność autochtoniczna, od prawieków na ziemi swoich ojców pozostająca. Ziemie te przeżyły nie jedną burzę dziejową, były w wiekowej niemieckiej niewoli nieraz przez swoich zapomniane i opuszczone i jeżeli do dziś dnia żyje tam ludność polska, jeśli zmagania dziejów nie starły z niej znamienia polskości, jeśli ludność ta okazała tak wielką żywotność, że dziś mimo spiętrzone trudności potrafi się organizować i bronić swojej polskości — to możemy z łężeszym sercem patrzeć w przyszłość. O Polakach w Niemczech nie można mówić tak, jak o naszej emigracji za granicą. To są bracia na swojej własnej ziemi. To ludność twarda, nieustępliwa, jak dąb wieloletni korzeniami w ziemię wrośnięty, zdolny skutecznie opierać się wichrom i burzom.

Z poczucia tej nieugiętej siły płynie ich hardy hymn:

„I nie ustaniem w walce,
siłę słuszności mamy
i mocą tej słuszności
wytrwamy i wygramy!"

—o—



Gmach polskiego gimnazjum w Bytomiu

Prawdziwym przyjacielem pisma jest ten, kto mu zjednywa nowych prenumeratorów

Szlacheckie upiory i królewskie błazny

(wiś) Wychodzący od niedawna w Krakowie dwutygodnik „albo-albo", okazuje się wiernym uczniem demokratycznej „Epoki". Współpraca ideowa tych pism, cytujących się wzajemnie z wielką kurtuazją, jest tak doskonale zgrana, że gdy w redakcji „Epoki" ktoś kichnie, natychmiast w „albo - albo" odpowiadają: na zdrowie. Najlepiej świadczy o tym poruszona ostatnio w tych pismach sprawa organizowania szlachty zagrodowej Podkarpacia. Po ukazaniu się w „Epoce" artykułu o sprzecznej z duchem demokratyzmu akcji budzenia ruchu szlacheckiego, zaraz w pierwszym tegorocznym numerze drgnęło demokratyczne sumienie „albo-albo" pod wpływem tego „epokowego" odkrycia.

Głos wydawnictwa krakowskiego nabrzmiały jest głęboką troską o przyszłość zagrożonej przez szlachtę demokracji. Posłuchajmy: — „Od jakiegoś czasu na łamach naszej prasy co raz częściej pojawiają się wiadomości o prowadzonej przez pewne czynniki akcji organizowania w kraju t. zw. szlachty zagrodowej, ściśle biorąc, pewnych specyficznych elementów ludności wiejskiej, przypisujących sobie jakieś „uherbione" rodowody. Terenem tej, snać potrzebnej komuś, akcji są głównie niektóre powiaty naszych ziem kresowych, szczególnie na Podkarpaciu, na Podlasiu i w grodzieńszczyźnie. Chodzi niewątpliwie o próbę wyłaniania z masy chłopskiej odrębnego i uprzywilejowanego, nielicznego zresztą, ale specyficznie zorganizowanego „stanu", który mógłby w przyszłości odgrywać jakąś, bliżej nieokreśloną jeszcze, ale napewno nic wspólnego z interesami wsi nie mającą rolę. Współczesna polska opinia demokratyczna, a zwłaszcza najbardziej tu zainteresowany jej odcinek — ruch ludowy, musi zwrócić baczną uwagę na całą tę akcję budzenia w naszym życiu publicznym najsmutniejszej sławy upiorów polskiej przeszłości!!"

Jak widać, relacja ta jest sformułowana w sposób dostatecznie alarmujący, aby spowodować zrozumiały niepokój. „Specyficzne elementy specyficznie zorganizowanego stanu z jakiemiś uherbionymi rodowodami", które w wyobraźni autora tej relacji zbudziły upiorów przeszłości, przedstawiają się, rzeczywiście, strasznie i groźnie. Z wiadomości tej jednak przebija przykre, rażące nieporozumienie: albo publicysta z „albo-albo" jest zupełnie niezorientowany w historii szlachty zagrodowej Podkarpacia i jej obecnej roli w życiu wsi Małopolski Wschodniej, albo jest typowym okazem hurra demokraty, którego samo słowo „szlachta" wyprowadza z równowagi. Jedno jest niewątpliwe: że nie zna tych rezerwatów szlachty zaściankowej, które jego demokratyczne sumienie powinny były poruszyć przede wszystkim. Ale nawet szlachta, dawno już zubożała, borykająca się z ubóstwem, bywa często demokratyczniejsza od niejednego zamożnego demokraty.

Wiadomo, że kryterium szlachetczyzny jest dziś niepopularne w miastach i bardziej jeszcze w sproletaryzowanych wsiach, ulegających różnym wpływom socjalnym, ale istnieje przecież ośrodek, w którym — dziwnym zrządzeniem losu — stara, polska szlachta trzyma się mocno i żyje najspokojniej, pielęgnując swoje szlacheckie, przedwielowiekowe tradycje. Środowiskiem tym, stanowiącym pewnego rodzaju rezerwat historycznego szlachectwa polskiego, jest powiat wysoko-mazowiecki, najbogatszy powiat województwa białostockiego i jeden z najbogatszych w Polsce. Dziewięćdziesiąt procent szlachty wśród ludności tego powiatu, jest chyba dość sensacyjnym zjawiskiem w naszych czasach demokratycznych. Struktura wsi i sposób życia ludności nie zmieniły się tutaj od czasów królewskich, kiedy wyznawano te same co dziś zwyczaje i te same przesądy. Godność szlachecką kultywuje się tu z zadziwiającą troskliwością, oddzielnie żyją wsie szlacheckie i włościańskie, unika się z pogardą współżycia między chłopem i szlachcicem, przestrzega się jak oka w głowie, aby — broń Boże! — wieś szlachecka nie została shańbiona kompromitującym mezaliansem. Gdy dziewczyna, pochodząca z rodziny szlacheckiej zakocha się w chłopskim synie i pragnie wyjść zamąż, udaje się przed tym do księdza z zapytaniem, czy Matka Boska nie pogniewa się na nią, że wychodzi... za chłopa (!). Dowodem posuniętego aż do absurdu separatyzmu szlachty wysoko-mazowieckiej może być gmina Pieszczaty, gdzie nie ma ani jednej wsi włościańskiej. Tutaj każdy szlachcic posiada ileś tam włók czy hektarów ziemi, gospodaruje niezależnie, młodzież szlachecka żeni się między sobą, otrzymuje w posagach zagrody i z dziedzictwem tym przejmuje staroszlacheckie przekonania. Temu niewątpliwie należy przypisać kultywację konserwatywnych zasad, zdecydowane przeciwstawienie się wpływom lewicowym i największe bodaj w tych stronach sukcesy endecji. Dumą powiatu jest to, że stąd najwięcej młodzieży kieruje się na księży.

Oto prawdziwa brać szlachecka, szczerze pogardzająca chłopem, której demokratyczne, czy socjalistyczne „albo-albo" powino poświęcić nie tylko całe artykuły, ale całe numery, całe serie numerów! Ale o tym „albo-albo" jeszcze nie wie, albo udaje, że nie wie, dlatego, że tamtej szlachty nikt nie organizuje, gdyż od wieków nie uległa żadnemu wynaradawianiu.

Tym bardziej naiwnie wygląda uwaga o roli szlachty w upadku Rzeczypospolitej. Jak tam było, wiemy dobrze. Ale to nie ma nic wspólnego z akcją organizowania 300.000 w znacznym stopniu zruszczonej szlachty zagrodowej Podkarpacia, której „jakieś tam uherbione rodowody" są dziś dokumentami ich odwiecznej polskości. A o to chodzi tutaj nie tylko przede wszystkim, ale w y ł ą c z n i e. Dziwny więc, nie wnikliwy i nie poważny jest ten alarm słabo orientującego się w polityce kresowej „albo-albo".

Jak dla ironii, przegapiło to sympatyczne i rzetelnie demokratyczne pismo o wiele bardziej interesujący i świeży, jak by z dnia, nie przestarzały o dwa i pół miesiąca jak szlachta zagrodowa, fakt powstania w Polsce Stronnictwa Narodowych Monarchistów, które rozpoczęło współpracę z frontem nacjonalistycznym. Deklaracja ideowa tego Stronnictwa mówi sama za siebie: „Monarchizm łączy a nie dzieli, buduje a nie burzy, dlatego obowiązuje nas monarchistów bezwzględnie życzliwe ustosunkowanie się do wszystkich narodowych organizacyj. Gdyby nawet były usiłowania prowokacji należy pamiętać, że konsekwencją nacjonalizmu jest monarchizm! Narodowcy niemonarchiści są naszymi młodszymi braćmi, którzy nie dorośli jeszcze do pełnego pojęcia nacjonalizmu, winniśmy mieć dla nich pobłażanie i pamiętać, że o ile są prawdziwymi narodowcami, drogi ich i nasze muszą się spotkać".

A teraz najważniejsze: „Dnia 17 grudnia 1937 zarząd główny Stronnictwa Narodowych Monarchistów zawiadomił jego Królewską Wysokość księcia Fryderyka Krystyna Wettina o powstaniu Stronnictwa Narodowych Monarchistów, walczącego o przywrócenie monarchii w Polsce".

I co na to „albo-albo"? Czy to nie piękne, że jeden z członków byłej saskiej rodziny królewskiej został już kandydatem na nasz tron?

—o—

K. O.

Spójrzmy w świat ukraiński

Przeciętny, szary obywatel Lwowa, żyjąc obok rozwijającego się świata ukraińskiego, nie ma prawie o nim pojęcia. Dzieli go nieraz od niego tylko cienka ściana mieszkania, lub cieńsza ścianka drzwi, zabarykadowanych zwykle szafą lub obfitym dywanem. Nie mając zaś o życiu ukraińskim pojęcia, nie stara się wcale o to, by pojęcie sobie wyrobić. Przeciwnie, odgradza się od ukraińskiego świata nie chcąc prawdy wiedzieć, sądząc o nim tylko za pośrednictwem polskiej prasy, tak czy inaczej interpretującej to życie. Co więcej, uważa owo odgradzanie się i niewiedzę za czyn wysoce patriotyczny. Ów przeciętny obywatel Lwowa uważa, że wydatek na gazetę ukraińską jest tylko groszem oddanym do kieszeni wroga, że ukraińska książka, to ponury, zbrodniczy dokument, w którym nic innego znaleźć nie można, prócz wrogości i plucia na wszystko co polskie. Panuje utarty pogląd, że co ukraińskie to wrogie, obce, że to tylko banda podpalaczy, od której trzeba jak najszybciej odgrodzić się drutem kolczastym niewiedzy, zamknąć oczy i uszy na odgłosy z tego wrogiego świata i zerwać z nim wszelki kontakt, pozostawiając go jedynie władzom bezpieczeństwa.

Najwięcej jeszcze to się wie o „Masłosojuzie", ale wie się o nim — że się tak wyrazimy — od strony kuchennej t. j. całkiem praktycznej, gdy się bez skrupułu zaopatruje w masło, gdy się porównuje jego ceny z cenami na lwowskim rynku i tylko czasem biada się ze zgrozą na ekspansję tegoż „Masłosojuzu", pomnażającego liczbę swych sklepów, ulepszającego organizację produkcji. Oczywiście niema się pojęcia o samej organizacji, tak świetnej, że nie ma jej równej na terenie Małopolski, ani o udziale przetworów mlecznych „Masłosojuzu" w polskim eksporcie i co za tym idzie, bilansie handlowym.

Mówi się wiele o normalizacji stosunków polsko - ukraińskich, robi się papierowe ugody, a życie idzie swoim torem. Ukraińcy obudzili i nadal budzą swą świadomość narodową, irredenta rośnie, a Polacy dalej chowają głowę, — jak ów przysłowiowy struś, — w piasek. Czynią to zarówno ci Polacy, którzy rozumieją wrogość Ukraińców, jak i ci, którzy by chcieli normalizacji stosunków i ugody. Chcąc walczyć z wrogiem, trzeba go poznać, by móc trafić w walce w najsłabszy punkt przeciwnika i zwiększyć szanse zwycięstwa. Chcąc zaś normalizacji stosunków — trzeba znać życie ukraińców, by móc wyszukać platformę porozumienia. W interesie więc wszystkich Polaków leży zbliżenie się i poznanie ukraińskiego świata.

Zresztą poza polityczną stroną działalności, jest jeszcze kulturalna strona życia ukraińskiego, jest teatr, literatura, sztuka. Są to platformy mniej więcej neutralne, na których stanąć i dogadać się można. Przeciętny obywatel nie wie, że poza ukraińską sztuką ludową, wyrasta sztuka wyższa, pełna rozmachu i finezji, że poza Iwanem Franką, o którym ogół polski stosunkowo najwięcej wie, a w każdym razie słyszał, mają też Ukraińcy Petra Karmańskiego i Bohdana Łepkiego, że mają literaturę "Wid Myrnoho do Chwylowoho". Nie wie też o tym, że Naukowe Towarzystwo im. Szewczenki we Lwowie, może się pochwalić nie bylejakim dorobkiem naukowym. Są to pozycje dorobku kulturalnego, o którym wiedzieć warto, a człowiekowi mającemu pretensje do kultury — przystoi. Zresztą jeśli nie chcemy szanować tej pracy, a szanować ją trzeba — jak każdy wysiłek i twórczość ludzką — skłaniać nas powinna do zapoznania się z nią zwykła ludzka wścibskość i ciekawość, zmuszająca do zaglądania na cudze podwórko i opowiadania o nim dziwów i sensacyj.

Trudność spojrzenia na to podwórko polega na niedostatecznej znajomości ukraińskiego języka wśród ogółu polskiego społeczeństwa. Można ją jednak łatwo przełamać, tak jak to widzieliśmy na przykładzie „Sygnałów, gdzie w numerze, poświęconym kulturze ukraińskiej wypowiedzieli się sami Ukraińcy w języku polskim, uprzystępniając polskiej publiczności zapoznanie się z ich dorobkiem. Ów numer „Sygnałów" (z datą 1. III. 1934 r.) miał zresztą duże powodzenie i zaczytano go wprost na śmierć, tak, że dziś nawet redakcja nie posiada już egzemplarzy. Widocznie istnieje potrzeba współżycia kulturalnego, ale jest zbyt nikła, zbyt wątła. Gdybyśmy bardziej interesowali się kulturą ukraińską, możeby takie wypowiedzi Ukraińców były częstsze. Ogół polski nie ma jednak zapotrzebowania w tym kierunku choć mamy „Biuletyn Polsko-Ukraiński", ale ten nie odbija jednak istoty życia.

Zdobądź się więc poczciwy Lwowianinie na zainteresowanie, wszak nie brak ci wścibskości ani ruchliwości. Usuń swą stereotypową szafę i fałdzisty dywan, dądź niedyskretny i podglądaj sąsiada choćby przez dziurkę od klucza.

SPRAWY KULTURY

Pawie pióra czy Złoty Róg?

(Z powodu książki Józefa Mortona)*

Głęboko wzruszająca książka. Józefa Mortona „Spowiedź“. Dokument doli człowieka wsi, którego skrzywdziło życie współczesne — i dokument stosunków chłopskich w dzisiejszej Polsce. Tragedia inteligenta wiejskiego w pierwszym pokoleniu, dla którego nie ma miejsca wśród społeczności.

W dwutorowym pamiętniku ogarniającym na przemian to sytuację obecną Stefana Okoły na tle sytuacji wsi, to wspomnienia z dziecięcych oraz młodzieńczych lat, wyszarpuje się najboleśniejsza spowiedź. Prosta, szczera, bezwstydna — a porywająca. Pisana językiem literackim, buchającym raz po raz jakimś zwrotem prosto z gleby, jakimś wyrażeniem, które nie ma w literaturze prawa obywatelstwa. Jak prawa obywatelstwa nie ma inteligent z nędzarskiej chaty chłopskiej — Stefan Okoła.

WIEŚ W MAJESTACIE NĘDZY.

Znając szereg dokumentów literackich wsi przystępuję do lektury Mortona z poczuciem pewnego zblazowania. Tyle się już na ten temat czytało... Były powieści wysokiej klasy artystycznej, reportaże, utwory bez tendencji i utwory mocno zabarwione. Można było stracić świeży stosunek do takiej literatury. Wieś przestała być tematem zbyt atrakcyjnym.

Ale po przeczytaniu kilku kartek Mortona czuję, że to naprawdę spowiedź — taką ludzką i społeczną prawdą bije w twarz ta książka. Stefan Okoła opowiada o wsi z majestatu śmiertelnego łoża i ten majestat śmierci rozlewa się dziwnym blaskiem na każdym jego zwierzeniu.

Nędza wsi nie jest przedmiotem delektacji autora. Jest prawdą. Jest życiem chłopa, który przeżywa je świadomie, gorzko, ale z marzeniem o poprawie. Literacka legenda o przyzwyczajeniu i nieznajomości innego życia bezpowrotnie chyba przeszła do krainy baśni o głupim chłopie. Beznadziejna szarość dnia powszedniego, babranie się w gnoju i własnym brudzie gdy ojciec z synem dzielą się jedną koszulą, brak soli, zapałek i mydła, jedzenie, którym pies gardzi — to normalny obraz życia wsi biednej.

W takich warunkach chowa się dzieci zaprawiając je do życia cięgami, które stanowią jedyny zabieg pedagogiczny doraźny — bez rezultatu. W takiej atmosferze marnieją młode dziewczyny, marząc o szczęściu i własnym zagonie. Przekwitają, gorzkną i starzeją się niezamężne, bo nędzarek nie chcą poślubić nawet — kaleki.

I aż dziw bierze, że w tym piekle życia, w tej nieustającej zgryzocie panuje tak ogromna siła wszelkiej tradycji uczciwej. I godność imponująca. Te dwie moce, które kiedyś podyktowały Gospodarzowi z „Wesela“ takie słowa o chłopie:

„Kiedy sieje, orze, miele,
taka godność, takie wzięcie;
co czyni, to czyni święcie;
godność, rozwaga, pojęcie.
A jak modli się w kościele,
taka godność, to przejęcie;
bardzo wiele, wiele z Piasta;
chłop potęgą jest i basta!“

Godność towarzyszy chłopu w pracy przy gnoju, godność w szacunku i miłości dla rodziny — prawdziwie chłopskiej komórki społecznej, godność wtedy, gdy chłop — jak nikt inny znający wartość rzeczy własnych — pożycza u sąsiada dwu zapałek czy szczypty soli, godność — gdy aresztowany za udział w rozruchu wsiowym idzie do więzienia i godność największa, gdy wszystkie sprawy biednego życia powierza Bogu, w którego wierzy bez zastrzeżeń.

Świadomość nędzy zbiorowej każe szukać chłopu jej przyczyny w odwiecznym, niezawinionym braku oświaty. Stąd głos sądziedzki, gdy stary Okoła oddaje do szkół syna: „Dzisiaj każdy powinien kształcić swoje dziecko, to może wtedy nie byłoby tyle głupiej, wsiowej ciemnoty“.

TEN, KTÓRY CHCIAŁ SIĘ WYRWAĆ.

Dlatego są tacy, którzy zdobyli się na wielki wysiłek, aby odetchnąć świeżym powietrzem. Leonka, która po ukończeniu dwu kursów seminarium nauczycielskiego musiała zostać na wsi; Stefuś — suchotnik, który ze swym talentem muzycznym zdobył tylko tyle, że wygrał na loterii skrzypce i — umarł; a w końcu — Stefan Okoła, o którym powiedział ojciec, zbuntowany przeciw życiu wsi: „Mój syn nie będzie wyrzucał gnoju tak, jak ja“.

Ale ani ojciec ani syn nie wiedzieli, jak twarde jest życie chłopa, który zapragnął być „panem“.

Najpierw — tułanie się po tanich stancjach, które w najokropniejszych snach mogą nękać po latach i wobec których rozkoszą jest nędzna ojcowa chałupa. Równolegle z tym — rozwój ciężkiej choroby żołądkowej, która na równi z przyszłym bezrobociem wyłączy chłopca z kręgu ludzi normalnych. Potem — studia (niedokończone) bez środków do życia, gdy syn uczciwego chłopa poniży się z konieczności do kradzieży i zdania się na łaskę — ulicznicy. W końcu — powrót na wieś i znów podania, podania, podania — o posadę. Oczywiście przy pracy społecznej, która miała być „biletem wizytowym“ dla kandydata do zajęcia — jakiegokolwiek. Nieuchronna kradzież społecznego grosza — na ubranie, a na koniec beznadziejny stan zdrowia, powrót do ojca, nowy ciężar dla chałupy, którą ogołociło się na studia, aby w niej zemrzeć na niechlujnym barłogu, nie doczekawszy się żadnej w życiu pozycji.

Oczywiście można było pójść drogą łatwiejszą dla chłopskiego syna. Zawód księdza byłby załatwił sprawę egzystencji i połatał nędzę. Ale nie każdego chłopa stać na to, by być kapłanem bez powołania. Stefan Okoła był zbyt uczciwy. Toteż nadchodzi moment, w którym młody, tragiczny wykolejeniec żałuje, że nie został na roli: „Zbyt drogo bowiem kosztuje nas, mimo pisanych konstytucji, zdobycie podstaw życiowych — nas, ludzi nowych, bez nazwisk, bez tytułów, bez przeszłości, nas, synów chłopskich — wygnańców, którzy, jak te psy, tułają się pomiędzy wsią a miastem, nie wiedząc co począć, za co imać, czego się czepić... Gdzie moje miejsce na spoczęcie po tyloletnim trudzie gramolenia się „rękami i nogami“?

Wieniec cierniowy życia, wieniec jakby związany z imieniem Stefana, kończy dobroczynna, łaskawa, długo oczekiwana i wymodlona — śmierć.

ZŁOTY RÓG, CZYLI: WSIĄ NIE WOLNO SIĘ BAWIĆ.

Ale ta śmierć, która jest na razie ostatnim wydźwiękiem męczarni jednostki, nie jest ostatnim wydźwiękiem chłopskiej sprawy. Umarł człowiek, który zmarniał w pogoni za pozycją. Ale został tłum, który wie, czego chce. Została gromada, która już wyrosła ponad zagadnienie „Wesela“ Wyspiańskiego i w pełni świadomości społecznej trzyma swój własny, od nikogo nie przejęty — Złoty Róg. Gromada, której nie bawią już pawie pióra. O tym nie wolno zapominać. W książce Mortona czytamy prorocze słowa jednego z nauczycieli Stefana: „Wsią się dzisiaj wszyscy bawią, jak małym szczenięciem. Jak egzotyką barwną, szumną, strojną w pawie piórka... Ale, psiakrew, wierzę w to mocno, że przyjdzie czas, kiedy to szczenię otworzy swe ślepia i stanie się... podwórzowym psem!“

Krótkowidze i ludzie złej woli widzą w chłopie polskim komunistę. Bo to najłatwiej dziś, kiedy zarzut komunizowania nie ominął chyba żadnego człowieka o uczciwej społecznej postawie ideowej. W chłopa polskiego godzi on chyba najmniej sprawiedliwie. Rozprawia się też z nim Okoła w swojej spowiedzi: „Za bardzo byłem i jestem chłopem, ażebym mógł zostać kiedyś wyznawcą komunizmu, który, w jakiejby go tylko formie nie zrealizowano, zawsze będzie krzywdą i ciężkim kamieniem dla mojego ojca

*) Józef Morton: „Spowiedź“, Warszawa 1937, str. 235+1 nlb.

ANTONI SŁONIMSKI

DWIE OJCZYZNY

W twojej ojczyźnie karki się zgina
Przed każdą władzą.
Dla zwyciężonych — wzgarda i ślina,
Gdy ich na kaźń prowadzą.

W twojej ojczyźnie gdyś hołdy składał —
Przed obce trony.
W ojczyźnie mojej, jeśli kto padał,
To krwią zbroczony.

W ojczyźnie twojej do obcych w wierze
Bóg się nie zniża.
Moja ojczyzna świat cały bierze
W ramiona krzyża.

W twojej ojczyźnie sławnych portrety,
Tom w etażerce.
W mojej ojczyźnie słowa poety
Oprawne w serce.

Chociaż ci sprzyja ten wieczór mglisty
I noc bezgwiezdna,
Jakże mnie wygnasz z ziemi ojczystej
Jeśli jej nie znasz?

Zabawa w totalniaka

W „Wiadomościach Literackich“ (w nr. 742) ukazał się wiersz Słonimskiego: „Dwie ojczyzny“. Zrozumiano go jaką piękną w wyrazie i głęboką w treści reakcję poety na zalew głupstwa pseudo-radykalnego, zalewającego polski dzień dzisiejszy. Reakcję bądź co bądź — bezimienną. Ale nieproszony adresat tej apostrofy znalazł się szybko. Czyżby prawo stołu i nożyc było tak niezawodne? Widocznie, skoro p. Ipohorski — cytuję bieg wypadków za „Wiekiem Nowym“ — zgłosił się sam do autora „Dwie ojczyzny“. Telefonicznie umówił się z nim do Ziemiańskiej, prosił o rozmowę — prawda, jak idylicznie? — a gdy gdy naiwny Słonimski zjawił się w miejscu spotkania, p. I. wyłonił się w towarzystwie kilku czy kilkunastu młodzieńców i wykonał starą zasadę „wszyscy na jednego“. Można orzec: no cóż? Bójka, napad podstępny — znamy to tak dobrze. Idzie jednak o sprawę zasadniczą. Nie trzeba bronić napadniętego brutalnie i zdradziecko pisarza, da sobie napewno sam radę. Przekonał się tylko, że wiersz jego zyskał jeszcze jedną zwrotkę: jedna ojczyzna — słowo wzruszenia, rzeczowa odpowiedź, druga ojczyzna — pałka, podstęp, przemoc brutalna.

Gdy niedawno jednego z młodych publicystów wykluczono z Pen-Klubu, rzucił on publicznie pogróżkę pod adresem wszystkich pisarzy polskich: „Zabawimy się w totalniaka“! Groźbę tę wykonał towarzysz „broni“ wydalonego — jak wyżej.

Teraz rozumiemy łańcuch faktów. P. Łaszowski grozi, p. Ipohorski bije, p. Kossak-Szczucka atakuje harcerstwo za ideę braterstwa. Zabawa w totalniaka odchodzi aż miło. Na uniwersytecie lwowskim, na życzenie pewnego wykładowcy, który z literaturą nie ma nic wspólnego, młodzież studencka odwołuje zorganizowaną akademię ku czci Leśmiana. Po piosenkach odwagi i humoru jak Prus, Żeromski, Strug, Dąbrowska — zabierać usiłuje głos pokolenie pisarzy koniunktury. Ubi bene, ibi patria. Jak totalniak — to totalniak.

Ale był czas, że zabranie głosu przez pisarza, było aktem sumienia i odwagi. W chwili po zamordowaniu Narutowicza, potem podczas sulejówieckiej samotności Piłsudskiego. Obóz legionowy pamięta, kto wtedy z miłością i wzruszeniem mówił o Polsce i Komendancie. I tych słów nabrzmiałych szacunkiem i wzruszeniem nigdy nie zapomni.

B. W. L.

—o—

MARIA KAZECKA

NAJAZD FREUDYZMU

Produkcja psychoanalityczna zalała biblioteki, czytelnie, pisma codzienne, teatr w Szwajcarii, w Francji, w Niemczech, w krajach anglo-saskich, a szczególnie w Rosji sowieckiej, które z początku oporne i przestraszone tym zalewem, obecnie coraz szerzej otwierają wrota najazdowi freudyzmu. — Jeszcze Hindenburgowi „pewne w ostatnich czasach wprowadzone subtelności psychoanalityczne były głęboko nie miłe" i uważał ich wpływ na młode pokolenia za szkodliwy. — Obecnie śmiałe i rewolucyjne przeniknięcie życia seksualnego przez Freuda i wogóle jego system, rozpowszechnia się, popularyzuje, wciska się do wszystkich zagadnień kryminalnych, przyziemnych i wzniosłych.

Chociaż koncepcje jego sprzeciwiają się zapatrywaniom ogółu ludzi, chociaż budowa jego ogólnej teorii nieświadomości, oparta na osobistych pojęciach o seksualiźmie, uchodzi u większości krytyków za bezpodstawne uroszczenie, to jednak teorie jego wkradły się do umysłów i wstrząsnęły pokładami uczucia ludzkiego, powodując zmiany w głębinach psychiki. Jeżeli umiemy w nim zrozumieć i dojrzeć nurt podziemny, głęboki, tajemniczy, ukryty, złożony z rzeczy nieokreślonych, niejasnych i niedostępnych! Dla tych, którzy umieją go dojrzeć, życie banalne i codzienne jest owym stawem tajemniczym Lefebvre'a, z którego po zapuszczeniu sieci, wyciąga się cudowny, połyskujący połów. Jakaż to rozkosz wyjawiać to, co się odczuwa w obrazach, malować myśli, które nas niepokoją, rozkładać je na części, chociażby to było najwyższą zuchwałością!

Freud zbudził z jednej strony: gorący zachwyt, hymny, podziw, — z drugiej, zaciekłe ataki, namiętną nienawiść, odrazę, obelgi i drwiny. Czołowy biolog francuski Y. Delage, pisze o nim naprzykład, w ten miły, łagodny sposób: „Freud pozostanie typowym przedstawicielem umysłu wypaczonego (esprit faux). Przypisał on psychice ludzkiej pewne zniekształcenie teratologiczne, a sam był główną jego ofiarą". Na innym miejscu: „Psychoanaliza jest psychozą. Określając ją najogólniej, możemy powiedzieć, iż jest chorobą; ludzie, dotknięci nią, stają się niezdolni do przyjmowania poprostu najdrobniejszych gestów, najbanalniejszych słów, tych z którymi obcują: we wszystkim muszą się doszukać jakiegoś głębokiego znaczenia". Po czym pyta się jeszcze: „Czy ukrytym celem psychoanalityków nie jest czasem zadowolenie własnej erotomanii?" dając czytelnikom za przykład prace Freuda.

Wybitnie znów psychologowie twierdzą, że Freud jest człowiekiem, ulegającym pewnej myśli natrętnej, umysłem nienaukowym, będącym w niezgodzie ze zdrowym rozsądkiem, a uczniowie jego poddają się zarazie psychicznej „system jego jest tylko modą, niedorzecznością, gdzie nic nie wiąże się logicznie, a stanowi jedynie pewien sposób leczenia, posiadający mnóstwo stron ujemnych".

Przychylnie ustosunkowują się do Freuda: H. Bergson w studium o „Śnie". — T. Ribot, psycholog francuski, E. Jones, przewodniczący londyńskiego towarzystwa psychoanalitycznego, G. Stanley Hall, jeden ze znanych psychologów eksperymentalnych w Stanach Zjednoczonych, no i uczniowie Freuda, którzy jak mówi de la Vaissiere, „mieli zdumiewającą śmiałość dotknąć psychoanalizą nawet Chrystusa". Inni znów jak pozytywsta E. Morselli, przystępują do poznania go „z krytycyzmem, bez zapału i bez uprzedzenia", a Mac Dougall, profesor psychologji w Duke Uniwersity, studjuje go bardzo dokładnie, po czym mówi: In for me shall continue to use what intellect" („a ja będę w dalszym ciągu, posługiwał się własnym rozumem).

JAN RUCIŃSKI

Młodzież na bezdrożach

(Głos w dyskusji)

Młodzież na bezdrożach — brzmi tytuł artykułu dyskusyjnego p. Krystyny Oppenauer. Prym dzierżą bowiem wśród młodzieży jednostki, nie odczuwające w ogóle potrzeby świadomości celów, a mniejszość, która się ogółowi, demagogią karmionemu, przeciwstawia, to romantycy pracy, niemodne antyki, nie umiejące głośno krzyczeć, choć krzykactwo dziś tak w modzie. Społeczeństwo, według autorki artykułu, składa się z trzech części składowych. Jedni byli na wojnie i nie nadają się do nowych warunków, drudzy, którzy wojnę przeżyli, będąc w wieku młodzieńczym, to pokolenie bohaterów Celine'a, czy Remarque'a, a trzeci znowu — to młodzież dzisiejsza, której charakterystykę za p. Oppenauer wyżej przytoczyliśmy. Innymi słowy, przyszłość Polski mamy budować, jakby wynikało z wywodów autorki, na niemodnych antykach, bojących się życia dzisiejszego. Przyznać trzeba, że program to bardzo skromny. Może nawet za bardzo. Na niemodnych antykach opierają swój byt wielkie muzea, nigdy zaś wielkie **narody**, które mają żyć życiem **dzisiejszym** i kształtować, a nie oddychać tylko historią i przeszłością.

Spróbujmy ująć problem młodzieży lapidarnie i bez osłonek. Spróbujmy rzucić snop światła, na mgławicę, którą niejeden już piórem poruszał, zawsze jednak zatrzymując się w połowie drogi. Problem ten jest zbyt **doniosły**, aby po wersalsku i krętymi metodami go ujmować. Brak szczerości i odwagi, to bowiem pierwszy i bodaj główny błąd, jaki tzw. starsze pokolenie popełnia wobec młodzieży.

Wojna światowa wyniosła na powierzchnię życia publicznego dwie wartości: wojna wyzwoliła i wyemancypowała ostatecznie kobietę, a także młodzież. Gdy starsi byli na froncie, ktoś musiał ich zastąpić. Kobieta po wojnie na niektórych pozycjach utrzymała się, ale nie potraktowała pracy zawodowej i społecznej jako swego życiowego celu **głównego**, natomiast młodzież zasmakowała w nowej roli i pozycyj zdobytych, dzięki zbiegowi okoliczności i koniunkturze, opuścić nie chce. Wszędzie obserwujemy to samo zjawisko, że rządy przeszły w ręce młodszych. Przed wojną przeciętny wiek tzw. człowieka na stanowisku był co najmniej o dziesięć lat wyższy niż teraz. Młodzi wywindowali się nie tylko dzięki swemu temperamentowi i nie tylko z powodu braku ludzi starszych do kierowania pewnymi działami życia społecznego, ale także dzięki **bierności** starego pokolenia, które wróciwszy z okopów cieszyło się, że ich synowie już tak ładnie się „bawią" i tak ładnie wypełniają swe zadania, do których zdawałoby się nie dorośli według dawnych pojęć. I jednemu i drugiemu ojcu imponowało, że on właśnie wychował tak dzielnego pracownika, ale ci wszyscy zapomnieli, że pewne rzeczy mszczą się potem. I tak też było w tym wypadku. Młodzi, powoli wsiąkając coraz głębiej w glebę narodową, wykazali braki i dlatego życie schodziło powoli na manowce. Zemścił się więc na całym społeczeństwie **pierwszy** błąd starych.

Młodzież, kształcąca się w szkołach, widząc **infantylizację** życia społecznego doszła do przekonania, że i dla niej wnet otworzą się wrota Sezamu. To samo szczęście, które uśmiechnęło się ich bezpośrednim poprzednikom, powinno było stać się także i ich udziałem. Oczywiście, że takie przekonanie musiało się odbić silnie na psychice tej młodzieży i na jej stosunku do nauki i wszelkiego w ogóle słowa drukowanego, a także na stosunku do profesorów-mamutów, nie mających przeważnie pojęcia ani jak się buduje radioodbiornik, ani jak się strzela goala, ani jakie najnowsze szlagiery nygus sprzedaje pod bramą Mikolascha czy na Marszałkowskiej. Dawniej student nie porywał się z motyką na słońce, nie wmawiał w siebie i innych, że on jest najważniejszą figurą i nie chciał wyłącznie nakazywać, a ogół do posłuszeństwa przymuszać.

W tym miejscu chciałbym zrobić małą dygresję. Tłumaczy się zwykle, że młodzież musi się wyszumieć, bo zawsze było to samo, a może nawet młodzież dawniejsza była gorsza. Owszem, w tym mówieniu jest wiele racji. Operować będę faktami, utrwalonymi w druku. W r. 1888 jeden z księży żalił się na łamach „Gazety Lwowskiej", że „trudno ustrzedz młodzież od szerzącej się na świecie coraz bardziej niemoralności i niewiary. Stąd wielu jest przeciwników posyłania uczniów do gimnazjów publicznych. Omawiając w r. 1891 w „Muzeum" przestępczość ówczesnej młodzieży gimnazjalnej w Galicji, pedagog dyr. Trzaskowski stwierdził, że władze szkolne wydaliły 22 uczniów za kradzież, 20 uczniów za czynne znieważenie nauczyciela i wybicie szyb w mieszkaniach nauczycieli, 15 uczniów za niemoralność i ekscesy erotyczne, innych zaś za gwałt publiczny, pobicie i targnięcie się na cudze życie, za włóczenie się po szynkach, za oszustwo i fałszowanie świadectw. Idąc dalej, natrafimy w 1908 r. w jednym z dzienników lwowskich na żale na to, że studenci roztrącają przechodniów, dzieci spychają z trotuaru, kobietom zuchwale zaglądają w oczy, ba, zaczepiają je niegrzecznie. jak nieokrzesane łyki z Łyczakowa, którzy nie odważyliby się może na coś podobnego..., studenci klną jak prości furmani".

Świadomie zacytowałem trzy opinie wybitnie niepochlebne dla ówczesnej młodzieży, aby stwierdzić, że: 1) wtedy miało się odwagę nazywać rzeczy po imieniu i raczej przesadzać in minus, 2) wyciągać z tych faktów konsekwencje, 3) wyjąwszy wybryki seksualne, które wobec zmienionych warunków ustały, na wszystkich innych odcinkach dzieje się teraz gorzej, o czym świadczy m. inn. szereg doniesień prasowych o kradzieżach, o pijaństwie wśród młodzieży itd. i o czym świadczą też fakty przeważnie przemilczane, ale ogólnie znane.

W ostatnich czasach jesteśmy świadkami dziwnego równania w dół. To, co dawniej cechowało garstkę tylko młodzieży, staje się teraz cechą **większości.** Weźmy dla przykładu choćby wynik klasyfikacji półrocznej w gimnazjach lwowskich i warszawskich (z innych ośrodków nie mam wiadomości, ale sądzę, że sytuacja jest i tam taka sama). Na półroczu była w tym roku niesłychanie duża ilość not niedostatecznych. W Wilnie wykryto aferę fałszowania świadectw szkolnych. Jeden z wybitnych pedagogów w rozmowie prywatnej powiada, że zupełnie się temu nie dziwi. Tak samo, jak w okresie wojennym, kiedy wprowadzono tzw. matury wojenne, a uczeń zjawiał się

— chłopa... Bo pole dla chłopa — to nie tyle a tyle fur ziemniaków czy zboża. To jego miłość, to oddziedziczony trud jego dziadów i pradziadów, to część jego samego, z którą się tak zrósł, jak zrasta się z żoną, z dziećmi, z religią i Bogiem".

Prócz miłości dla ziemi jest religijność chłopa tym czynnikiem, który go przed komunizmem uchroni. Ruch wiejski przeciw nędzy, przedstawiony w „Spowiedzi", to nie krwiożerczy pochód zrewoltowanej międzynarodówki, ale polska procesja, która wali tłumem, a „ponad nim unosi się śpiew, jak groza, jak odwieczny gniew sponiewieranych.

Serdeczna Matko, Opiekunko ludzi,
Niech Cię płacz biednych do litości
[zbudzi."

Morton widzi potęgę chłopską własną, rodzimą, rzec by można: piastową. Toteż zbuntowany Stefan Okoła i jemu podobni giną jako jaskółki wiejskiego Jutra. Rozumie zresztą i on sam, gdy zbliżająca się śmierć łagodzi w nim gorycz życia. Rozumuje wtedy spokojnie: „Wsi trzeba iść. Wciąż naprzód i naprzód, nigdy nie ustawać, rwać bystrym pochodem, siłą, uporem, choćby przy tym nie jeden miał dzielić ze mną los, nie jeden rzucać przed oczy świata taką spowiedź, jaką ja w tej chwili czynię... Iść. Bezwględnie, twardo, z uporem, a wtedy może nadejdzie taki dzień, kiedy nie będzie już takich jak ja i mnie podobnych".

Śmierć poszczególnych Okołów użyźnia glebę dla Sprawy, która dojrzewa przez cierpienie. Jak każda Sprawa — wielka.

Dr JANINA GARBACZOWSKA

w gmachu szkolnym nie w mundurku szkolnym, ale w mundurze żołnierskim, egzamin stawał się fikcją, a najtęższe głowy pasowano na dojrzałe, tak samo i teraz, wielu mniema, że przynależność partyjna starczy za pracę i wiedzę. Byle gołowąs uważa za nieodzowne spędzać czas na różnych politycznych naradach, choć pojęcia nie ma o problemach społecznych, a cała jego umiejętność polityczna ogranicza się do kilkunastu frazesów, zaczerpniętych z dziennika partyjnego. Młodzieniec taki słyszy, co się dzieje na uniwersytetach i cierpi dotkliwie, dlaczego i w gimnazjach nauki nie zawieszają. I on chciałby tylko dwa tygodnie w trymestrze słuchać wykładów, a potem automatycznie awansować w studiach. I on chciałby masowo zdobywać dla siebie coraz to nowe pozycje...

Dawniej uczeń - leń, nic nie robiąc, nie miał przynajmniej do nikogo pretensji. Wiedział, że na nic lepszego niż dwóje nie zasłużył. Ale dziś i uczeń twierdzi, że stała mu się krzywda i mama, ciocia i babcia gotowi solennie protestować i memoriałować, dlaczego się prześladuje pociechy, które np. pokusiły się o odwalanie zadań maturycznych z zakupionych na „giełdzie" tematów, zamiast myśleć i uczciwie zadanie napisać. W domu rodzice przyzwyczajają dziecko do łatwego życia. W razie czegoś obiecuje mu się interwencje. Uczeń słucha, jest pojętny i skutki są widoczne najpierw na świadectwie, a potem w całym poglądzie na świat i życie. Dawniej mówiono, że życie jest surowe i ma swoje prawo, teraz natomiast słychać tylko o ułatwionym życiu i prawach młodości. Przewrót na całej linii, czyli też, jak chce p. Oppenauer i cała falanga innych — „przełom". Wprawdzie trudno powiedzieć, dlaczego wypaczanie charakterów nazywać wzniośle „przełomem" i złe obyczaje sankcjonować, ale to już problem oddzielny.

Przełom widzę chyba w tym, że młodzieży **wszystko** dziś wolno. Dawniej podczas oblężenia miasta wystawiano machinom na pastwę dzieci i kobiety. Niekiedy skutkowało to, przeważnie jednak strona wojująca nie miała litości. Od czasu wynalezienia armat metody tej poniechano, ale dziś wraca ona w zmienionej tylko i zastosowanej do sytuacji formie. Partia polityczna, zwalczająca rząd, czy profesora, siedzi spokojnie za zielonymi biurkami, tam układa projekty, a potem wysyła otumanioną młodzież na ulicę, by bój o te hasła, sobie przeważnie **obce i niezrozumiałe**, toczyła. System ten stał się **metodą**, odkąd prowodyrzy partyjni, zgrani i zbankrutowani, przekonali się, że w inny sposób **nigdy** na widownię polityczną nie wypłyną.

A starsze pokolenie, to samo, które tak łatwo zrezygnowało ze swojej supremacji na rzecz młodych w okresie powojennym, przerażone rzekomym witalizmem młodzieży, który jest niczym innym jak tylko jedną z form młodzieńczego wyżywania się, teraz znowu się cofa i woła: dajcie mi spokój! Starzy zamykają oczy, nie chcą niczego widzieć i tylko drżą o to, aby młodzi, którzy z posad chcą poruszyć ziemię (tej powieści Jokaya podobno nawet się już nie czyta), nie strzepnęli także starych zjadaczy chleba. Przecenia się siłę młodzieży i rozzuchwala się młodzież. Każda partia sięga po młodzież, każda obiecuje młodzieży programy maksymalne, każda kadzi młodzieży, a nikt serio nie pomyśli, że wciąganie młodzieży do rozgrywek partyjnych **starszego** pokolenia to wbijanie noża **samemu** sobie, bo temu właśnie społeczeństwu, dla którego rzekomo się pracuje. Wypaczanie charakterów młodzieży, to wypaczenie charakteru narodu, a charakter narodu raz wypaczony tak łatwo naprawić się nie da. Starzy muszą znowu nabrać odwagi i **jasności** sądu, muszą przede wszystkim cyfrowo przekonać się, że nieprawdą jest, jakoby z jednej strony byli wszyscy, a z drugiej garstka niemodnisiów. Dane z walnych zgromadzeń bratniaków warszawskich z przed roku, na których najmodniejsza młodzież zwycięstwo odniosła, wskazały, że na Politechnice warszawskiej na przeszło 1000 uprawnionych do głosowania brało udział w walnym zgromadzeniu zaledwie 281 studentów, a na UJP na około 900 członków Bratniaka przybyło tylko około 200. Omawiając wtedy to zjawisko „Czas" pisał: Wymowa tych cyfr jest nader pouczająca. Wskazuje ona wyraźnie, gdzie kryją się źródła owego „totalizowania" walnych zebrań. Źródła te to nic innego, jak tylko odsunięcie się ogromnej większości młodzieży od bezproduktywnych rozgrywek politycznych na terenie Bratnich Pomocy, zupełny zanik zainteresowania działalnością tych instytucyj, absolutnie nie odpowiadających swej nazwie... Bratnie Pomoce przekształciły się w ekspozytury politycznych ugrupowań, stały się polem popisu domorosłych „polityków" i „mężów stanu" i dlatego ostatnie zebrania przyniosły zwycięstwo młodzieży narodowo radykalnej. Odbywały się przecież w rodzinnym gronie młodocianych kandydatów na Hitlerów. I tylko dlatego przyniosły ONR-owi zwycięstwo.

A konkluzje? Przede wszystkim jedna. Psychologia strachu jest najgorsza i o tym wiedzą chyba dobrze kombatanci Wielkiej Wojny Wyzwoleńczej, ci kombatanci, którzy, moim zdaniem, zupełnie się **nie** przeżyli, ale poddali się sugestii, jakoby oni już nie rozumieli „nowego życia" i jego wymogów. Ten frazes i bluff czas najwyższy **obalić**! Nie chodzi o prześladowanie młodzieży, ale terror jednostronny musi się skończyć. Nie chodzi o odebranie nikomu praw, a tylko o nie pasowanie na rycerzy tych, którzy na razie nie są powołani do władania mieczykami i kastetami. Nie chodzi wreszcie o walkę z młodymi, ale o oduczenie młodych metod, które w konsekwencji musiałyby doprowadzać do **wojny domowej** między Polakami.

—o—

NA ŚWIATŁO DZIENNE

Zwichnięta propaganda

Dodatki PAT-a słyną z propagandy, ale w stylu najbardziej... prymitywnym, takim, że ludzie chętnie zamykają oczy, gdy zaczyna się wyświetlanie obrazów naszej kochanej, krajowej producentki. Czasami jednak nawet PAT potrafi się zdobyć na coś niebywałego. Na propagandę wyrafinowaną. Mam na myśli tygodnik PAT-a wyświetlony wraz z filmem „Kościuszko pod Racławicami" w jednym z kin lwowskich w ubiegłym tygodniu.

Zaczyna się od obrazu świątecznych połowów ryb morskich. Widać tylko czarne plamy, które mają niby oznaczać olbrzymy morskie, złowione przez polskich rybaków. Obserwując te migawkowe zdjęcia odnosiło się wrażenie, że dokonano je przed 10 laty w Polsce, bo wtedy technika zdaje się była na takim mniej więcej poziomie. Dążąc w ślad za biegnącą naprzód taśmą, jesteśmy w Rzymie. Armia włoska (kawaleria i czołgi) uczestniczą w imponujących pokazach dla gości armii jugosłowiańskiej. Żałujemy tylko, że obraz trwa krótko. Od pierwszej sekundy jesteśmy pełni entuzjazmu dla niezrównanej armii włoskiej.

W dalszym ciągu PAT pokazuje m. inn. efektowne popisy pary łyżwiarzy na lodzie w Wiedniu, Ludendorffa, połów ryb na jeziorze Trockim (wartość artystyczna dorównuje „scenie rybnej" nad Bałtykiem) i wreszcie rozdzielenie podarków świątecznych między ostatnich 10 dorożkarzy w Berlinie. Ostatni dorożkarze ubrani są w nowiuteńkie cylindry i eleganckie stroje, a dostają od uprzejmych komitetowych duże i pięknie owinięte paczki. Panowie komitetowi, czule się uśmiechając, wręczają nawet dorożkarzom spore butelki z płynem — jak można się domyśleć — wyborowym. Obdarowani dorożkarze nie mają fioletowych nosów ani rubasznych ruchów i mogliby z powodzeniem grać role lordów w polskich filmach.

Nie zdążyliśmy jeszcze wyjść z podziwu, jak wytworni są mohikanie profesji dorożkarskiej w Berlinie, gdy ciemny film jeszcze bardziej ciemnieje. Pokazano szereg nędznych twarzy, biedaków wszech stanów i płci, starców, kobiet i dzieci, otrzymujących węgiel z „Pomocy Zimowej". Dreszcz wstrząsa na widok tych nędzarzy, marznących na śniegu i wyczekujących swej kolejki. Dreszcz i — oburzenie. Bo naraz uzmysławiamy sobie, jak to przed chwilą wyglądał okres przedświąteczny w Berlinie. Tam byli do obdarowania tylko dostatnio ubrani panowie, tam przy tej sposobności pokazano z rozmachem urządzoną zabawę w Lunaparku, a tu tłem dla nędzarzy, wyczekujących na węgiel, są rudery. Odpowiednik to błyszczącej asfaltowej szosy, którą przed chwilą widzieliśmy w Niemczech.

PAT jest genialny — szepnąłem do siebie, ale już w sekundę później okazało się, że się pomyliłem. Nie doceniłem PAT-a i jego możliwości. To, co PAT potrafi robić za pieniądze państwowe, nie jest tak prymitywne. Przekonałem się o tym, gdy „gadająca taśma" obwieściła, że rozdaje się winogrona dla 150.000 dzieci włoskich. Przed wesołą komisją przedefilowały bogato ubrane i uśmiechnięte dzieci, otrzymując — jak taśma wyła — „najsmaczniejszy i najzdrowszy owoc". Scena pyszna. Aby jednak wrażenie było zupełnie pozytywne, operator pokazał też oddział maszerującej młodzieży włoskiej. Zaznaczyć należy, że kto był we Włoszech, a kraj ten naprawdę zwiedzał, to musiał tam widzieć bardzo dużo nędzy i bardzo obdartą młodzież. Nędza włoska np. w Neapolu w niczym nie ustępuje nędzy naszych Bałut czy innego ośrodka. W porównaniu z Włochami, gdzie wypadki biedy są szczególnie rażące, możemy w rzeczywistości chlubić się, że jesteśmy b o g a c z a m i.

Tak jednak **nie jest** dla Polskiej Agencji Telegraficznej.

PAT uważa, że ma propagować w Polsce d o b r o b y t Niemców i Włochów, o r a z n ę d z ę Polaków. Bo przecież to jest P(olska) A(gencja) T(elegraficzna).

—o—

Jesteśmy zwolennikami sądów przysięgłych

We Lwowie ma się odbyć rozprawa Doboszyńskiego. Nasze poczucie prawa jest urażone, że współwinni nie stanęli razem z Doboszyńskim przed sądem przysięgłych, a tylko wódz Doboszyński doznał zaszczytu uwolnienia przez sąd przysięgłych, coś dziwnie analogicznie jak Hitler w Niemczech przed dojściem do władzy.

Cieszy nas bardzo, że prokurator sprawy Doboszyńskiego tak dzielnie rozprawę przygotował, że mimo „przegranej" wyróżniony został po uwalniającym wyroku sądu przysięgłych.

Irytują nas prasowe sprawozdania z rozprawy sądowej Doboszyńskiego, z których nie dowiedzieliśmy się, czy i dlaczego najbardziej pokrzywdzony starosta nie zeznawał na rozprawie.

Proces Doboszyńskiego był klasyczny. Prokurator spisał się pierwszorzędnie, świadkowie Żydzi dopisali, tylko zawiedli przysięgli. I takie omyłki się zdarzają. O wiele ciekawszy jest zbieg okoliczności nieudałej rozprawy i kampanii o zniesienie w Polsce sądów przysięgłych. Zbieg tych okoliczności zmusza nas do zwrócenia się do Sejmu z apelem, by wykazał niezbicie, że przysięgli zawinili mimo tak świetnego przygotowania rozprawy przez pana prokuratora. Każdy szczegół rozprawy winien być w Sejmie wyjaśniony i wytłumaczony przepisami kodeksów karnego i postępowania proceduralnego. Tego wymaga interes polskiej racji stanu, która nakazuje dobrze naświetlić momenty, oskarżające instytucję sądów przysięgłych.

Specjalnie na kresach musimy wykazać, że jednakowo zwalczamy anarchię polską i ukraińską. Przecież nie tak dawno Ukrainiec p. Nazaruk całkiem wyraźnie wypowiadał się w tej materii...

W sprawie Doboszyńskiego wyraźne stanowisko zajął p. premier Składkowski i z tego też powodu lwowska rozprawa będzie emocjonowała nie tylko Polaków.

Jesteśmy zwolennikami sądów przysięgłych, chcemy, by ta instytucja zdała egzamin życia także w sprawie Doboszyńskiego, i z tego też powodu i dla wielkich zasług krakowskiego prokuratora, który sprawę należycie przygotował, domagamy się naświetlenia tamtej „przegranej". Nie przesądzamy rozprawy lwowskiej. Wypowiadamy tylko opinię, że ona będzie jeszcze lepiej przygotowana od krakowskiej, gdyż takie jej przygotowanie (bez względu na wynik) uzbroi nas moralnie do dalszego domagania się karania ukraińskiej anarchii.

Nie wątpimy, że gorący patriota, jakim jest p. Grabowski, zrozumie narodowe przesłanki tego apelu i Sejmowi ułatwi całkowite wyświetlenie sprawy rozprawy Doboszyńskiego, który ku wstydowi narodu polskiego, jak Hitler, mógł był uniknąć wymiaru sprawiedliwości za targnięcie się na polskiego starostę.

—o—

Pomoc zimowa chroni tysiące rodzin od mrozu i głodu

KRONIKA LEGJONOWO-PEOWIACKA

Zarząd Okręgu Zw. L. P. Lwów

W dniu 10 I. br. odbyło się pod przewodnictwem prezesa dr. Br. Wojciechowskiego posiedzenie Prezydium Zarządu Okręgu, na którym załatwiono bieżące sprawy organizacyjne. Szerzej rozpatrywano kwestię zmiany czasopisma „Wola i Czyn" z dwutygodnika na tygodnik, co uzależniono od osiągnięcia odpowiedniej ilości prenumeratorów.

Zaakceptowano następnie projekt Zarządu Oddziału lwowskiego, urządzenia wspólnie z Rodziną Legionową i Związkiem Peowiaków reprezentacyjnego rautu legionowo - peowiackiego. Dzień, miejsce oraz program ustali Komitet w tym celu wyłoniony.

Zarząd Klubu Dyskusyjnego pod przewodnictwem ob. ppłk. dr. Tadeusza Dwernickiego odbył w dniu 10 I. 1938 r. posiedzenie, na którym omówiono program wieczorów dyskusyjnych na najbliższe miesiące oraz uchwalono zwołać na dzień 28 stycznia br., godz. 19-ta do lokalu Zarządu Okręgu, Zebranie członków Klubu Dyskusyjnego, na którym p. red. Laskownicki Janusz wygłosi odczyt p. t. „Zasady prasy wobec Państwa i społeczeństwa — sprawa ustawy prasowej".

Nadto omówiono szereg spraw, dotyczących organizacji Klubu Dyskusyjnego.

Herbatki - bridge odbywające się każdej soboty w salach Zarz. Okr. przy. ul. Kopernika 42 a, cieszą się stałą, liczną frekwencją.

W ubiegłą sobotę tj. 15 I. br. na herbatce wobec licznie zgromadzonych gości, wygłosił ob. dr Jan Rogowski odczyt pod tytułem „Krótki zarys powstania śląskiego".

Oddział Zw. L. P. — Przemyśl

Pod gorliwym i sprężystym kierownictwem Prezesa Oddziału ob. ppłk. int. Czernego Stanisława i dzięki intensywnej pracy całego Zarządu — Oddział przemyski wykazuje ostatnio dużą żywotność. W pierwszej połowie grudnia 1937 r. została zorganizowana placówka Związku Leg. Pol. w Dobromilu, licząca obecnie 20 członków. Kierownikiem placówki został wybrany ob. Ptaczek Stanisław, wójt gminy Starzawa, zaś zastępcą spełniającym funkcje sekretarza i skarbnika ob. Ekiert Franciszek, urzędnik skarbowy w Dobromilu. Nowo powstała placówka posiada duże znaczenie organizacyjne oraz społeczno - polityczne, gdyż grupuje w sobie członków rozsianych w terenie, zamieszkałym przeważnie przez szlachtę zagrodową. Skoordynowanie pracy tych ludzi przyczyni się niewątpliwie do podtrzymania ducha narodowego wśród szlachty zagrodowej, którym często trzeba przypominać o tym, że są Polakami i wpajać w nich przywiązanie do Narodu i Państwa Polskiego. Pierwszym wyczynem nowopowstałej placówki jest wzięcie w opiekę dwóch szkół polskich. Opieka ta polega na pomocy materialnej i moralnej biednej dziatwie szkolnej, a pośrednio jej rodzicom.

Względy natury społeczno - politycznej, zmusiły Oddział przemyski do opróżnienia zajmowanego dotąd lokalu przy ul. Katedralnej 3. Dzięki silnemu poparciu najstarszego rangą legionisty na terenie Przemyśla ob. gen. Wacława Wieczorkiewicza, Dowódcy O. K. X., otrzymał Oddział w Domu Żołnierza (ul. Mickiewicza 44) obszerny, piękny odrestaurowany lokal, do którego wprowadzono się w dniu 20 grudnia 1937 r. W następnym zaraz dniu odbyło się otwarcie lokalu połączone z uroczystą „Gwiazdką" dla wdów i sierót po legionistach, oraz najbiedniejszych legionistów. Uroczystość zaszczycił swą obecnością ob. gen. Wieczorkiewicz, który w krótkich a gorących słowach zachęcił ojców i matki zebranej dziatwy legionowej do wychowania dzieci na dobrych obywateli naszej Ojczyzny, składając jednocześnie zebranym życzenia Wesołych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku. Następnie ob. ppłk. Czerny podziękował ob. generałowi za przybycie na uroczystość oraz za gorliwą, niemal ojcowską opieką nad legionistami, tudzież wdowami i sierotami po legionistach. Zkolei obdarowano zebranych podarkami świątecznymi, a ob. generał wypytywał wdowy, sieroty i legionistów o ich położenie materialne, polecając notować wszelkie życzenia i prośby i przedstawić sobie do załatwienia w terminie poświątecznym. Wytworzył się nastrój bardzo miły i serdeczny, a wszyscy zebrani odczuli, że nad nimi czuwa ręka opiekuńcza miejscowej starszyzny legionowej z ob. generałem na czele. Nastrojowo działała też oświecona choinka, przybrana wielu słodyczami, którymi po ukończeniu uroczystości podzieliły się zebrane dzieci. Ogółem obdarowano 31 rodzin, w tym 143 osób, na łączną kwotę około 250.— zł.

Należy podkreślić, że w nowym lokalu został zainstalowany aparat radiowy, zakupiony za pieniądze przysporzone dzięki staraniom Prezesa Oddziału, podobnie jak i tegoroczna „Gwiazdka" została urządzona z tych samych funduszów.

Piszą nam z Rzeszowa:

Z pośród innych b. aktualnych, rzeczowych i poważnych artykułów „Woli i Czynu" szczególnie zainteresowały legionistów zamieszczone w kilku pierwszych numerach pisma artykuły p .t. „Rozważania legionowe", których autor nazwisko swe ścieśnił do jednej małej literki „b".

Mam przeświadczenie, że będę wyrazem pragnień nie tylko legionistów rzeszowskich, ale całego Obozu legionowo-peowiackiego, by autor — bez wątpienia legionista, — nadal swe „Rozważania legionowe" kontynuował.

Pisane są one tak dobrze, że czyta się je z zapartym oddechem, choć nieraz coś ściska serce... Jednak pisać trzeba o wszystkich bolączkach Obozu Niepodległościowego, gdyż to Obozu nie rozkłada lecz, moim zdaniem, wzmacnia.

A bolączki te istnieją ciągle. — Są one natury ogólno-organizacyjnej, personalnej, oraz polityczno-społecznej. Aby je usunąć, trzeba o nich pisać.

Autor „Rozważań legionowych" wykazał dużą odwagę cywilną, wspominając o rozdźwiękach w „górze" legionowej, która zbyt pochopnie wyrzeka się więzów, łączących je z masą legionową.

O bolączkach legionowych powinien pisać również ogół legionistów, gdyż napewno materiał nadsyłany przez nich byłby ciekawy i pożyteczny tak dla Organizacji, jak też dla poszczególnych członków. Apeluję zatem do Kolegów, by „Rozważaniami legionowymi" zainteresowali się żywiej i dokładniej.

(wą.)

Konsolidacja i zacieśnienie więzów łączących P. O. W. ze Lwowem

Dnia 8. I. b. r. odbyło się sprawozdawcze zebranie członków lwowskiego koła P. O. W., zwołane dla złożenia sprawozdania ze zjazdu wileńskiego.

Uchwały polityczne tego zjazdu publikowała prasa całej Polski, i dlatego ograniczamy się do przedruku uchwał organizacyjnych:

1) Uważając, że Zjazd Wileński dobrze spełnił swe zadanie przez przyśpieszenie akcji złączenia Związku Legionistów i P. O. W. zebrani zwracają się do Zarządu Głównego z wezwaniem dalszego i zupełnego przyśpieszenia tej akcji łączenia obu organizacyj w jedną. Złączenie tych dwu organizacyj winno nastąpić jak najrychlej dla ułatwienia koniecznego złączenia wszystkich organizacyj i działaczy niepodległościowych w Polsce i dla dania przykładu i wyrazu uznania konieczności ogólno - narodowej konsolidacji Narodu Polskiego.

2) Z okazji 600-letniej rocznicy miasta Lwowa, a dalej dla uczczenia pamięci I-szego Komendanta P. O. W. Tadeusza Żulińskiego i tych Peowiaków, którzy jako pierwsi padli i walczyli w obronie Lwowa — zebranie prosi Zarząd Główny o zwołanie następnego Zjazdu P. O. W. do Lwowa. Proponuje się zwołanie takiego zjazdu w rocznicę rozpoczęcia obrony Lwowa tj. 31. X. i 1. XI. 1938 r., jakkolwiek okres letni ze względu na warunki atmosferyczne byłby bardziej odpowiedni.

3) Zebranie zwraca się z prośbą do Zarządu i Rady m. Lwowa o przemianowanie jednej z ulic m. Lwowa (ul. Gródecka, Akademicka, Sykstuska lub Pełczyńska) nazwą „Peowiaków" lub „P. O. W."

Po innych miastach Polski, miasto Lwów, odznaczone krzyżem Virtuti Militari winno tą drogą uczcić swych obrońców — Peowiaków.

4) Zebranie domaga się usunięcia kompromitującego pomnika P. O. W. w Warszawie i wzywa Zarząd Główny do wszczęcia akcji budowy wielkiego pomnika wojennej chwały P. O. W. w Warszawie.

Ponadto zaznaczyć należy, że ogólnopolski Zjazd P. O. W. w Wilnie uchwalił między innymi i postanowił wysłać na ręce p. prezydenta m. Lwowa depeszę następującej treści:

„Lwów — symbol bohaterstwa,
Lwów — symbol siły moralnej za którą idzie zwycięstwo
Lwów — kawaler orderu Virtuti Militari
JEST DROGIM SERCU NASZEMU.

Na ręce Pana Prezydenta m. st. Lwowa te wyrazy hołdu i miłości — składa I Ogólnopolski Zjazd Peowiaków".

Treść depeszy jest najlepszym dowodem serdecznych uczuć, jakie łączą tę organizację ze stolicą Małop. Wsch. — uczuć, wypisanych krwią Peowiaków w czasie Obrony Lwowa.

Niezwykle piękne kazanie księdza-peowiaka na zjeździe wileńskim, oraz sprawozdanie z działalności P. O. W. w terenie, odkładamy, z powodu braku miejsca, do następnego numeru.

Ataki na Spółdzielczość

W sobotę, dn. 8 b. m. z okazji zjazdu delegatów „Społem", red. P. Stanisław Thugutt wygłosił odczyt p. t. „Ataki na spółdzielczość".

Na wstępie prelegent stwierdził, że społeczeństwo nasze w stosunku do spółdzielczości cechuje niewiedza. Wcale nie rzadkie są wypadki, że działacz polityczny, pisarz, czy nawet profesor uniwersytetu o spółdzielczości dowiaduje się, jak o odkryciu jakiegoś nieznanego szczepu. Społeczeństwo za mało jest informowane o spółdzielczości, nie zajmuje się tymi zagadnieniami, — redakcje pism nadsyłane artykuły spółdzielcze wrzucają do kosza, nic też dziwnego, że ruch spółdzielczy u nas jest ruchem najsłabszym w Europie.

Spółdzielczości u nas nie popiera nikt. Są wprawdzie partie polityczne, mające wypisane hasła spółdzielcze na swoich sztandarach, ale w rzeczywistości nie wiele, albo i najczęściej wcale nie zajmują się spółdzielczością. Cóż się dziwić; spółdzielczość nikomu kariery nie zapewnia. Stosunek Rządu do spółdzielczości jest taki sam, jak stosunek ogółu społeczeństwa, t. zn. nijaki. Istnieje szereg akademij handlowych, szkół handlowych średnich i niższych, — a jednak zagadnieniu spółdzielczości niesłychanie mało, albo i zupełnie nie poświęca się miejsca. Pod tym względem żyjemy jeszcze resztkami dawnej ideologii szlacheckiej.

Nic dziwnego, że w społeczeństwie, które nie wiele o spółdzielczości wie łatwo przyjmują się ataki na „Społem". W walce tej przodują rzesze kupiectwa, widząc w spółdzielczości niebezpiecznego dla siebie wroga. Trzeba jednak zrozumieć, że spółdzielczości nikt nie wymyślał na złość kupcom. Jest to system, który stworzyły potrzeby życia, a walka z kupiectwem, to walka dwu systemów, walka, która powinna się toczyć z zachowaniem form przyzwoitości.

Zarzuca nam kupiectwo — mówił prelegent, — że cieszymy się przywilejami. Gdzież te przywileje? Przecież na zjazdy spółdzielców nikt stolicy flagami nie ubiera, jak to było ostatnio na zjeździe kupiectwa.

Że spółdzielnie nie płacą podatku dochodowego, to jest całkiem zrozumiałe, bo spółdzielnia to przecież nie jest przedsiębiorstwo dochodowe. Wiedzą zresztą o tym kupcy doskonale, bo napróżno starają się, by ich zaopatrywała największa w Polsce i najlepsze mająca towary hurtownia „Społem". Wiedzą również o tym władze skarbowe, bo księgowość spółdzielni jest ściśle kontrolowana.

Na zarzuty tego rodzaju, jak ostatnio, że „Społem" wychowuje bolszewików, — odpowiadać nie można, bo zarzuty te padają zwykle anonimowo i nie są niczym umotywowane. Porównać to można jedynie do cuchnącego płynu, który się wylewa ukradkiem konkurentowi pod drzwi, licząc na to, że wtedy u niego nikt nie kupi. Większość ataków pochodzi zasadniczo ze źródeł czysto politycznych.

Mimo wszystko spółdzielczość się systematycznie rozwija i daje jak najlepsze wyniki. Dochodowa gospodarka „Społem" jest najlepszą reklamą i świadectwem społecznej wartości. Ilość spółdzielców, zrzeszonych w spółdzielniach spożywców dochodzi do 300.000, a nakłady pism spółdzielczych osiągnęły cyfrę 50.000. Zawdzięczamy to kilku tysiącom spółdzielców - fanatyków, którzy pracę tę traktują jako swój światopogląd i wkładają w nią cały swój zapał. Szczególnie silnie rozwija się ostatnio ruch spółdzielczy na wsi i wśród młodzieży.

Warunki prenumeraty: Kwartalnie 1·50 zł. — Półrocznie 3·— zł. — Rocznie 6·— zł. Cena ogłoszeń: cała strona 500 zł, pół strony 300 zł. ćwierć strony 150 zł., za wiersz milimetrowy jednej szpalty 25 gr., w tekście o 50% drożej.

Wydawca: Zarząd Okręgu Związku Legjonistów Pol. we Lwowie. Redaguje: Komitet. Redaktor odpowiedzialny: Kazimierz Bogdanowicz

Drukarnia: „Związkowe Zakłady Graficzne", Spółdzielnia z odpow. udział., Lwów, ul. Piekarska 18 — Telefon Nr. 290-05.